PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI

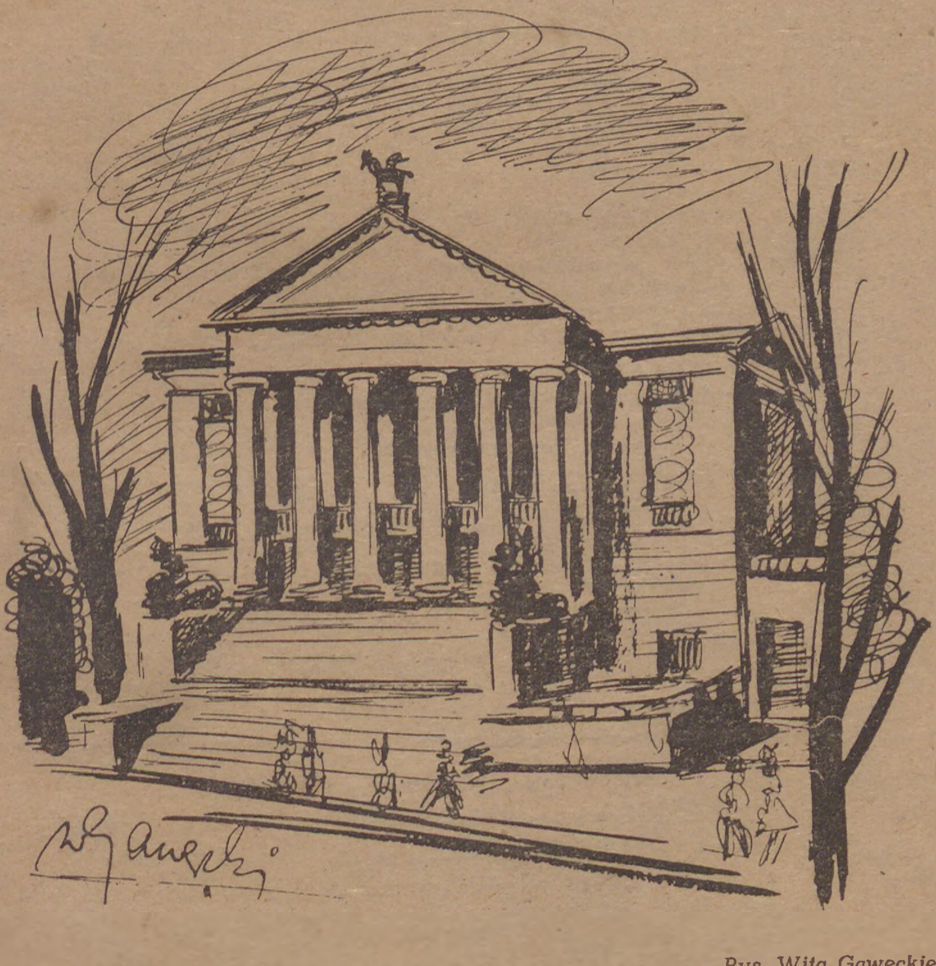

Teatr Wielki w Poznaniu

Rys. Wiła Gawęckiego

ROK III — 1947

STYCZEŃ—MARZEC — NR 1—3

PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI

MIESIĘCZNIK REGIONALNY

POD REDAKCJĄ

DR ZDZISŁAWA GROTA

SPIS TREŚCI:

Strona

Dr Ludwik Bykowski: Ze wspomnień osobistych o Janie Kasprowiczu 1

Mgr Stanisław Gołębiowski: Rola i znaczenie Kolegium Lubrańskiego i Kolegium Jezuickiego w XVI, XVII i XVIII wieku dla Wielkopolski 10

Henryk Przybylski: Grzegorz Snopek z Szamotuł rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego 15

Dr Wisława Knapowska: Z dni walk o Poznań 1945 . 28

J. W. Szulczewski: Bożemęki i ich wpływ na folklor wielkopolski 32

Tadeusz Nożyński: W sprawie popularyzacji źródeł historycznych 34

Dr Jerzy Młodziejowski: „Harnasie" Szymanowskiego w Poznaniu 36

Dr A. Zarach: Józef Morawski 41

Tadeusz Leszner: Stanisław Zgaiński 44

Nowe wydawnictwa:

Gerard Labuda: Studia nad początkami państwa polskiego (Dr K. Tymieniecki) 51

Karol Górski: Państwo Krzyżackie w Prusach (Dr M. Jabczyński) 52

Witold Jakóbczyk: Doktór Marcin (Dr Z. Grot) . . . 55

Zdzisław Grot: Sto lat Zakładów H. Cegielski, 1846—1946 (Dr M. Jabczyński) 56

Wspomnienia młodzieży wielkopolskiej z lat okupacji niemieckiej 1939—1945 (Mgr J. Szelejewski) 60

Przegląd Zachodni. Rok II. Nr 11. (Dr M. Jabczyński) 60

Kronika

Z Poznania 63

Z Wągrówca 63

BIBLIOTEKA UNIWERSYTETU POZNAŃSKIEGO

Kierownictwo graficzne: Marian Romala

Sekretarz Redakcji: Mgr Zofia Grotowa

Wydawca: Jan Jachowski, Poznań, Zygmunta Augusta 1. —

Nakładca: Księgarnia Akademicka, spółdzielnia z odp. udziałami, Poznań, Zygmunta Augusta 1. — Adres Redakcji: Poznań, Garbary 65/67 m. 5.

Adres Administracji: Poznań, Zygm. Augusta 1. — Tel. 35-53

PKO V-242. Właściciel konta: Księgarnia Akademicka, sp. z odp. udz. Konto czek. nr 44 w Banku Gospod. Spółdzielczego — Oddz. w Poznaniu

Odbito w Drukarni Uniwersytetu Poznańskiego — K-25108

Ɑ 27 - 2/90 cz 100.-

Wydano z ...

PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI

MIESIĘCZNIK REGIONALNY

POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM KULTURY WIELKOPOLSKIEJ W PRZESZŁOŚCI I W CHWILI OBECNEJ

Rok III | Poznań, styczeń—marzec 1947 r. | Nr 1—3

UNIWERSYTETU GDAŃSKIEGO BIBLIOTEKA
C 11739

Dr Ludwik Bykowski
Profesor Uniwersytetu Poznańskiego

ZE WSPOMNIEŃ OSOBISTYCH O JANIE KASPROWICZU

Zetknąłem się z Janem Kasprowiczem za mych czasów studenckich we Lwowie. Słyszałem i czytałem o nim już wcześniej w gimnazjum, znałem nawet niektóre jego utwory, ale nie zachwycałem się nimi, bo — przyznaję — nie bardzo je rozumiałem, dopiero z czasem pojąłem ich myśli przewodnie ukryte pod przenośniami lub porównaniami, podobnie jak i Stanisława Wyspiańskiego. Dopomogli mnie przyrodnikowi prócz własnych studiów filozoficznych także koledzy poloniści, a zwłaszcza B. Pochmarski, później i sam Autor. Trzeźwo patrząc na świat nieraz pokpiwałem sobie z ich literackich uniesień i zachwytów nad ówczesną „Młodą Polską" i „Przybyszewszczyzną" kolegów polonistów, ale się też od nich uczyłem. A jeśli chodzi o Kasprowicza i Wyspiańskiego, to wyczuwałem potęgę ich myśli. Osobiście jednak poznałem go w latach 1902-4, kiedy zostawszy wiceprezesem lwowskiej „Czytelni Akademickiej" reprezentowałem niekiedy młodzież akademicką na różnych zebraniach, obchodach i naradach. Ale to była znajomość bardzo etykietalna. Starszy odemnie o 20 lat poeta, wówczas w pełni sił i życia pracował w redakcji „Słowa Polskiego" kierowanego przez Zygmunta Wasilewskiego. Przedstawiono mię jemu jako „Dygnitarza" młodzieżowego, wiedział, że jestem wiceprezesem „Czytelni", bo tak mię w rzadkich rozmowach tytułował, czy jednak pamiętał moje nazwisko, nie mógłbym powiedzieć. On znany już poeta, ja student pracujący na zupełnie innym polu... Patrzyłem nań jako na jakąś istotę wyższą, do której nie wolno się zanadto zbliżać, by nie doznać losu Ikara. Wiedziałem, że był synem chłopskim, bo sam z tego się szczycił i głośno o tym mówił, co wówczas nie było tak w zwyczaju jak dziś. Na bankiecie urządzonym przez „Czytelnię" na cześć Bronisława Szwarcego [1]), pijąc zdrowie solenizanta wyraźnie powiedział: „Ty jesteś mieszczuch, a ja jestem chłop". Wysoko to ceniłem, bo wieś znałem — sam z niej pochodząc — od dzieciństwa nauczyłem się szanować poważnych kmieci, a pierwszymi mymi towarzyszami zabaw i przyjaciółmi byli rówieśnicy, synowie ruskich włościan. Wiedziałem, iż pochodził z Kujaw i przeszedł więzienie pruskie. Dodawało mu to u nas wszystkich uroku, ale tworzyło też tym większy dystans.

Dopiero pod koniec mych studiów latem 1904 nastąpiło dalsze zbliżenie. Kasprowicz miał ambicje nie tylko poetyckie, ale i naukowe, marzył o katedrze uniwersyteckiej, jak największy z wieszczów naszych Adam Mickiewicz. Atoli brak mu było doktoratu, bez którego nie można było myśleć w Austrii o profesurze akademickiej. Przyjaciele z pośród profesorów uniwersytetu lwowskiego, jak Twardowski, Finkel, Porębowicz i i. nakłaniali go do zgłoszenia się do egzaminów, które przy swej erudycji bez trudu pokona tymczasem on pamiętając dawnych niechętnych profesorów niemieckich „bał się jak dziecko”, zwlekał, odkładał. Obawiał się pedantyczności Romana Pilata, wyjątkowego oczytania Piotra Chmielowskiego. Nareszcie i przez nich zachęcony zdecydował się i w lipcu zgłosił do rygorozów, które zdał świetnie. W tym czasie i ja złożyłem swoje i los zrządził, że na ten sam dzień rektor ksiądz dr Fijałek wyznaczył nam promocję. Ponieważ egzamin ostatni zdałem dzień czy dwa wcześniej, więc miałem prawo starszeństwa i najpierw po złożeniu wymaganych ślubowań zostałem mianowany doktorem, a dopiero po mnie Kasprowicz. Promocji dokonywał wówczas, nie jak obecnie, główny egzaminator, lecz kolejno (per turnum) profesor zwyczajny, nieraz zupełnie nie znający promowanego doktoranta. Moim promotorem był profesor fizyki Ignacy Zakrzewski. Kasprowicza promował jego przyjaciel, filozof Kazimierz Twardowski, przed którym również drżał poeta mimo zażyłości; egzamin z filozofii był wówczas obowiązkowy dla wszystkich kandydatów do doktoratu na naszym wydziale. Dziekanem był wówczas Aleksander Kolessa, profesor literatury ruskiej, jego też podpis obok rektora i promotora widniał na naszych dyplomach.

Dzięki temu zbiegowi okoliczności nie tylko w czasie promocji miałem salę nabitą publicznością i to nie byle jaką, lecz kwiatem inteligencji, ale zwróciłem też na siebie baczniejszą uwagę Kasprowicza, który odtąd żartobliwie nazywał mię „starszym kolegą”. Wkrótce potem Kasprowicz został profesorem literatury porównawczej w uniwersytecie lwowskim, gdzie już w wolnej Polsce zdobył godność rektora.

Ale prawdziwie bliskie i przyjacielskie stosunki nawiązały się między nami dopiero w czasie pierwszej wojny światowej.

Kasprowicz, mimo postępujących lat, zachował nie tylko żywość ale i młodość duchową, zachował młodzieńczą wiarę w słuszność naszej sprawy, gardził oportunizmem, więc czuł się coraz bardziej obco wśród swoich rówieśników, z których wielu poszło na drogę współpracy z państwami centralnymi, licząc na „życzliwość i poparcie Wspaniałomyślnego Monarchy”. Przyznano honorowy doktorat arcyksięciu Fryderykowi, rezygnowano z zaboru pruskiego, zamiast dostępu do morza i oparcia się o Bałtyk zadowalano się „skanalizowaną Wisłą”. Prześcigano się w objawach lojalności, nakazywano Polsce „jak bluszcz owijać się dokoła tronu Habsburgów”, wszelkie powątpiewanie w zwycięstwo mocarstw centralnych piętnowano jako „moskalofilstwo” i zdradę narodową... Narzucenie generałów Niemców na namiestników, wybryki soldateski austriackiej, a nawet traktat brzeski nie otworzyły oczu tym ludziom [2]). Tylko

mniejszość w gronie profesorów miała odwagę przeciwstawić się tym wypaczonym zasadom i poczynaniom. Ci też czuli się źle i obco w tej atmosferze. Kasprowicz między nimi. Odsuwał się więc od dawnych przyjaciół, a zbliżał do nas, młodych, gdzie znajdował zrozumienie i widział jasną przyszłość. Był, podobnie jak my młodzi, zdecydowanym „ententofilem", rozumiał, że Niemcy są naszym śmiertelnym wrogiem, z którym nie ma porozumienia ani współpracy, wierzył w ich ostateczny pogrom, w najcięższych chwilach nie tracił otuchy.

Już przed tą wojną kilku nas przyrodników, wówczas młodych kolegów pracujących w gimnazjach lwowskich, zawiązało nieurzędowe kółko mające na celu podniesienie szkoły i udoskonalenie metod pracy. Za zezwoleniem Rady Szkolnej Krajowej odwiedzaliśmy się na lekcjach bez zapowiadania z jednej a przygotowania się z drugiej strony, próbowaliśmy nowych metod, sposobów i środków, a następnie na zebraniach urządzanych co kilka tygodni dzieliliśmy się spostrzeżeniami i doświadczeniami, szczerze krytykując lub aprobując wzajemnie. Już wtedy myśleliśmy nie tylko o stronie dydaktycznej, o nauczaniu i jego skuteczności, ale również o wyrobieniu charakteru w myśl potrzeb wychowania narodowego, odbiegającego nieraz silnie od urzędowych szablonów austriackich. Za przykład niech posłuży fakt, że gdy dawniej urządzano wycieczki tylko po Galicji, a poza kraj koronny kierowano się do Wiednia, myśmy odważyli się poprowadzić naszą młodzież poza kordony rozbiorowe. Pierwszą taką wycieczkę z gimnazjum samborskim urządziłem w r. 1907 do Poznania, Gniezna, Inowrocławia, Kruszwicy i na wieś do Węgierc na Kujawach, w latach następnych poszły inne do „Królestwa", na Litwę, Polesie, Wołyń, do Białowieży i nad Bałtyk. Pociągnęliśmy za sobą humanistów, którzy bądź nam towarzyszyli, bądź na własną rękę urządzali własne wyprawy do Warszawy, Puław, Częstochowy, czy rodzinnych stron Mickiewicza i Słowackiego. Uradował się Kasprowicz, gdy mu doniosłem o zamiarze pokazania młodzieży Kujaw i Gopła i interesował późniejszymi wycieczkami.

W czasie wojny zmienił się charakter naszych zebrań. Nie ograniczyliśmy się do zagadnień dydaktycznych z przyrodoznawstwa, ale nadto omawiali sprawy ogólnej natury, rozważali, jak ochronić młodzież przed deprawacją wojenną i dezorientacją ideową. Zmienił się też i skład naszej grupki. Kilku służyło w wojsku i legionach, ich miejsce zajęli nowi harmonizujący ideowo z nami, między nimi i Kasprowicz, który czuł się doskonale w naszym gronie, a swym doświadczeniem i znajomością zaboru pruskiego i metod niemieckich niejednokrotnie tłumaczył zawiłości polityki, a swą intuicją ukazywał właściwą drogę.

Mimo różnicy 20 i więcej lat wieku szczerze się z nami zaprzyjaźnił i on, profesor uniwersytetu, dopuszczał do poufałości stopniowo przechodząc na wzajemne i równe „ty". Rozpoczął tę poufałość od kolegów będących docentami, później objął wszystkich. Zebrania nasze, które w miarę postępu wojny stawały się coraz bardziej polityczne, odbywaliśmy w prywatnych mieszkaniach na zmianę przy herbatce, choć czasem z liści poziomkowych i osłodzonej sacharyną,

1*

Na jednym z takich zebrań, po pomyślnych — nie ze stanowiska austriackiego — wiadomości z frontu gościnny gospodarz kol. Jan Hirschler „pokazał się" i postawił butelkę wina obok tradycyjnej herbatki. Nasz poeta uradował się na ten widok:

— Jest wino — rzekł. — Jeszcze z Jaksą nie jestem na „ty", a powinienem od dawna jako ze starym kolegą z doktoratu. Wypijemy braterstwo!

— Wiwant! — krzyknęli koledzy a gospodarz nalewał kieliszki.

— Wielki to dla mnie zaszczyt — odparłem — za który szczerze dziękuję, ale jako wierny uczeń Dybowskiego [3]) zasadniczo nie używam alkoholu, chyba w chorobie, a wszelkie toasty wznoszę mlekiem lub herbatą, „zdrowia" zaś nie piję winem ale „zjadam chlebem", bo jako łacinnik wierzę, że „tam gdzie jest chleb jest i wino".

— Paradne — zawołał Kasprowicz — więc i po zdobytym doktoracie nie napiłeś się?

— Właśnie od doktoratu; nie używam nawet przy uroczystościach.

— Hm, hm! — dziwne tak bez wina, gdy stoi na stole, ... hm! Ale mi zależy na tobie. Więc gryź ty swój chleb, a ja piję. Niech będzie! Jak ty trzymasz kieliszek? — zwrócił się do któregoś z kolegów. Za nóżkę, nigdy za brzuszek!

— Wiwant! — krzyknęli wśród śmiechu zebrani.

I odtąd byliśmy na ty.

Po czasie, gdyśmy się jeszcze bardziej zżyli, zwierzał mi się ze swych pragnień i zamiarów autorskich. Obok twórczości oryginalnej uprawiał, jak wiadomo, w szerokim zakresie tłumaczenia. Wtedy zajęty był Szekspirem. Miał zamiar dokonać przekładu wszystkich jego utworów i nowego zbiorowego wydania. Poddałem mu myśl ozdobienia ilustracjami, ale w przeciwieństwie do wydań dawniejszych, oryginalnymi, sporządzonymi przez naszych malarzy. Podobała mu się ta propozycja, dłużej ją roztrząsał w szczegółach — sam przecie także uprawiał rysunek, a zakończył: „Tak to jest zdrowa myśl, by do tego geniusza wszechświatowego i pendzel polski coś zdziałał. Muszę o tym pogadać z Jarockim".

Kilkakrotnie mówił o swych utworach, tłumaczył szczegóły niejasne. Zwłaszcza ciekawe dla mnie były wiadomości dotyczące psychologii jego tworzenia. Oto raz zachodzę do mieszkania przy ul. św. Zofii we Lwowie, on siedział przy pracy w bibliotece, na fotelu przy swoim biurku odziany w purpurowy arabski burnus. Przepraszam, że przeszkadzam, ale miałem jakieś ważne sprawy.

— Ależ bardzo dobrze, żeś przyszedł — powiada Kasprowicz — trochę odpocznę, bo się zamachałem tą kłótnią ze Szekspirem.

— Jakto kłótnią? — pytam zdziwiony.

— A no widzisz, gdy tłumaczę Szekspira, to czuję wyraźnie j e g o obecność. Stoi tu koło mnie z prawej strony, trochę z tyłu — pokazuje — i patrzy, co

ja piszę. Patrzy, nic nie mówi zwykle, ale czasem odezwie się „to nie tak!" Czasem nawet za rękaw pociągnie, gdy się pomylę. Nie tak? pytam — a więc jak? „Mądryś — powiada — chciałbyś bez trudu stworzyć! Pomyśl sam, a zobaczysz". Więc głowię się i przychodzą nowe myśli. A on mówi: „O widzisz: to dopiero właściwe". Wtedy przekreślam i poprawiam. Ale czasem bywa inaczej. Czasem kłócę się, że to dobre, a on swoje i podaje argumenty, a ja zbijam, a on moje. Tak kłócimy się nieraz do zmęczenia. Czasem ja jego przekonam, ale zwykle on mnie i ustępuję i przerabiam. I teraz tak było. Zmęczył mię, ale nie przekonał. Odpocznę, a jak pójdziesz zacznę od nowa. To samo było z Aischylosem, gdy go tłumaczyłem.

A przecież ten znawca Szekspira nader krytycznie oceniał swoją angielszczyznę.

Oto w swoim czasie przed I wielką wojną przyjechał do Lwowa rodowity Anglik p. F. W. R. Butler, jak można sądzić w dyskretnej misji politycznej, który zgłosił chęć objęcia posady nauczyciela języka angielskiego w szkołach średnich. Nawiązał on kontakt z wybitniejszymi osobistościami zwłaszcza sfer arystokratycznych i za poparciem prof. Leona Pinińskiego, członka Rady Szkolnej Krajowej, otrzymał tymczasową posadę, czyli tz. suplenturę w gimnazjum VIII, w którym w miejsce języka francuskiego, jak w innych gimnazjach realnych, wprowadzono angielski. Ale Anglik tak sobie upodobał Polskę i polską młodzież, że postanowił osiąść na stałe we Lwowie i w tym celu starał się o stałą posadę nauczycielską. A do tego potrzebne było wedle austriackich przepisów odpowiednie świadectwo z właściwego przedmiotu wystawione przez rządową komisję. On wprawdzie miał dyplom uniwersytetu londyńskiego (jeśli się nie mylę), ale dla nauczania fizyki i matematyki. Trzeba więc było uzupełnić formalnym egzaminem z angielszczyzny. We Lwowie nie było wówczas katedry anglistyki, zaproponowano więc Kasprowiczowi, jako profesorowi historii literatur porównawczych i znawcy Szekspira przeegzaminowanie kandydata. Kasprowicz odmówił:

— Co ja miałbym egzaminować rodowitego Anglika z angielszczyzny? Na to, aby potem drwił z mej wymowy? Ani myślę.

Trzeba więc było sprowadzić z Krakowa profesora R. Dyboskiego. Egzamin wypadł naturalnie pomyślnie, ale stało się, jak przewidywał Kasprowicz: nie tylko egzaminator oceniał kandydata, ale i odwrotnie. „Profesor Dyboski — mówił mi Mister Butler nazajutrz po egzaminie — doskonale opanował język angielski. Gdyby nie ti-esz (th), nie możnaby było poznać, że to nie Anglik".

Ale w odniesieniu do Kasprowicza ta odmowa udziału w egzaminie podobnie, jak dawne zwlekanie z doktoratem, świadczy o wielkiej jego skromności i samokrytycyzmie, tak charakterystycznym właśnie dla wielkich ludzi.

Natomiast bardzo nie lubił, gdy go nagabywano a przygodne lub „sztambuchowe"wiersze:

— Przychodzi mi taki kołtun i gada: „napisz pan wirsz". Jakgdybym ja był szewc, a on mnie buciki zamawia. Czy ja rzemieślnik, żebym robił na zamówienie! . . . Albo jakaś leciwa adoratorka poezji: „o parę strofek do pamiętnika" . . .

Napisałbym ci, ale nie miałabyś czym się chwalić. Niech czarci porwą takich mecenansów poezji!

Przebijał się w tym wysoki kult dla sztuki, a dla poezji w szczególności, oraz poważne poczucie odpowiedzialności za swą twórczość. Nie bez trudu, jak Sienkiewicz, tworzył swe dzieła, ale chciał być zawsze i we wszystkim artystą, nie rzemieślnikiem robiącym na obstalunek.

Nie ograniczał się on do poezji i profesorskich wykładów. Jak A. Mickiewicz brał on udział w szerszym życiu narodu. I na tym polu miałem możność współpracy.

Obaj należeliśmy do Ligi Narodowej,[4]) która wyznaczała myśl polityczną obozu narodowego we wszystkich trzech zaborach przeciwstawiając się tak ugodowości i „trójlojalności” stronnictw zachowawczych i pseudopostępowych, jak kosmopolityzmowi socjalnej demokracji i zaniechania wszelkich aspiracyj narodowych, a myślenia tylko o przewrotach społecznych, jak wreszcie zgubnym marzeniom powstańczym przeciw Rosji romantycznych epigonów wielkiej emigracji i stronnictwa demokratycznego. Oczywiście organizacja, jak i cały ruch, był namiętnie zwalczany przez wszystkie te kierunki, a również przez państwa zaborcze, które doceniały jego znaczenie i niebezpieczeństwo dla siebie. Bieg pierwszej wielkiej wojny światowej w ostatecznym wyniku wykazał słuszność myśli politycznej Ligi Narodowej, kierowanej przez Romana Dmowskiego, w przeciwieństwie do grup aktywistycznych z Józefem Piłsudskim na czele i Naczelnego Komitetu Narodowego (N. K. N.), oraz późniejszych filiacyj opierających się o mocarstwa centralne. Akta wrogów zachowane w archiwach dawnego zaboru pruskiego ujawniły, jaką katastrofą dla Polski i Polaków byłoby zwycięstwo Niemiec. Pomysły i zarządzenia skierowane wobec nas w czasie okupacji hitlerowskiej były obmyślone niemal w całości już w epoce cesarstwa w okresie poprzedniej wojny, a wszelkie rzekome ustępstwa i objawy życzliwości były tylko czasową maską dla uśpienia czujności naszej i dla zdobycia rekruta. Działalność Ligi pokrzyżowała te plany: Królestwo Polskie nie dało żołnierza.

Walnie do zwycięstwa tej słusznej orientacji przyczyniła się grupa lwowska Ligi, której komisarzem w czasie wojny był najpierw Albin Rayski, potem Zdzisław Próchnicki, wreszcie już w wolnej Polsce Jan Rozwadowski. Tu opracował zasadniczy zarys swej pracy o wyczerpaniu rezerw mocarstw centralnych prof. Stefan Dąbrowski, a ująwszy ten proces we wzór matematyczny podał krytyczne terminy i ostateczny upadek Niemiec. Maszynopis przemycony do Warszawy przez prof. Włodzimierza Koskowskiego, wówczas jeszcze studenta medycyny, przeważył szalę opinii przeciw orientacji austro — czy germanofilskiej reprezentowanej przez Tymczasową Radę Stanu, a później przez Radę Regencyjną. Kasprowicz doskonale znający ducha pruskiego swym wieszczym umysłem wyczuwał przewrotne zamiary Niemców, należał do nieprzejednanych i swymi rzeczowymi argumentami ułatwiał właściwą decyzję[5]).

Obok zdecydowanie przeciwniemieckiego stanowiska Kasprowicz w Lidze i w swej działalności szerszej propagował myśl jedności Słowiańskiej i bra-

terstwa. Nawiązał bliskie kontakty z Czechami i Jugosłowianami, zwłaszcza ze sferami literackimi i naukowymi, i brał udział w zjazdach słowiańskich, umiał nawet utrzymać towarzyskie stosunki z literatami ukraińskimi S. Twerdochlibem, a nawet tak niechętnym Polakom Iwanem Franką. Bliskim był Rosjanom, wśród których znalazł wierną towarzyszkę życia. Znał Lenina, z którym prowadził żywe dyskusje w czasie pobytu w Poroninie lub Zakopanem. Bardzo boleśnie odczuł traktat brzeski w r. 1918. Był też jednym z mówców na zebraniach manifestacyjnych we Lwowie.

Dalszą cechą jego działalności politycznej był szczery i niesfałszowany demokratyzm i republikanizm. Przeciwstawiał się nie tylko Hohenzollernom i Habsburgom, ale monarchizmowi w Polsce i wszelkiej dyktaturze, przemocy i totalizmowi. Zasady te głosił i w poufnych zebraniach Ligi i w publicznych występach. Silnie podkreślał praworządność i sprawiedliwość wobec wszystkich. Spierał się na ten temat niejednokrotnie przed wojną z J. Piłsudskim, z którym znał się z Zakopanego, a który już w okresie konspiracji zdradzał z jednej strony zapędy dyktatorskie, z drugiej buntowniczość i niesforność, gdy zadecydowano wbrew jego poglądom. Kasprowicz raz wprost mu powiedział: „Prawdziwym demokratą to jestem ja, a wy mimo swej czerwoności jesteście szlachcicem z epoki saskiej, równocześnie despotą i warchołem". Piłsudski nie replikował, widać uznał słuszność zarzutów.

Warto też wspomnieć, że w r. 1920 Kasprowicz wraz z S. Żeromskim jeździł na teren plebiscytowy Prus Wschodnich, niestety uwagi ich i ostrzeżenia zostały zignorowane przez czynniki decydujące, a zwłaszcza Naczelnika Państwa.

Na osobne rozpatrzenie zasługuje jego działalność jeko prezesa Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych (T. N. S. W.).

Zimą 1918 roku po traktacie brzeskim, gdy okazała się jasno obłuda Austrii, ustąpił z prezesury profesor Ernst Till, reprezentujący kierunek ugodowy wobec czynników rządowych. Oglądaliśmy się za nowym pezesem, którym tradycyjnie był zawsze profesor uniwersytetu, jako niezależny od Rady Szkolnej Krajowej. Najbardziej znanym i czynnym był Eugeniusz Romer, znany geograf, ale on odmówił, gdyż prócz swych prac zawodowych kierował jako prezes towarzystwem wydawniczym Książnica Polska T. S. N. W. Inni proponowani byli mało znani nauczycielstwu, albo stali daleko od spraw szkolnictwa. Wtedy sekretarz Twa, młody nauczyciel Juliusz Saloni, dziś profesor Uniwersytetu Łódzkiego, wymienił nazwisko Jana Kasprowicza. Ze sprzeciwem nikt nie wystąpił, nasuwały się tylko wątpliwości, czy on się zgodzi, czy wolno go tym zaszczytem, ale i ciężarem, obarczać, czy nie będzie on tym przysłowiowym „Pegazem w jarzmie". Wnioskodawca zapewniał, że ma pośrednie wiadomości, że nie odmówi, a co do „jarzma administracyjnego", to doświadczenie, pomoc i pracowitość dotychczasowego wiceprezesa złagodzą jego ciężar i ułatwią pracę. Wniosek zarządu poparło Walne Zgromadzenie T. N. S. W. i w ten sposób Kasprowicz został jego prezesem w tym tak trudnym i ciężkim okresie.

I tu znów zajaśniały jego niepospolite zdolności i ujawniła niespożyta energia i gorliwość w pracy. Prezesurę uważał za zaszczyt, ale i za obowiązek. Jako zastępca starałem się odciążyć go administracyjnie, bo jedynie ogólny kierunek i reprezentacja były terenem jego działalności, ale on, mimo że nigdy nie pracował w szkolnictwie średnim interesował się wszystkimi sprawami Twa, nie obojętne mu były nawet kłopoty materialne nauczycielstwa. Z wzorową punktualnością zjawił się na wszystkie posiedzenia zarządu i na tygodniowe zebrania wydziału wykonawczego, wyjątkowo pozwalały na wyręczenie się w przewodnictwie, a gdy choroba nie pozwoliła mu zjawić się, pisemnie się usprawiedliwiał i prosił o zastępstwo.

Okres jego prezesury to okres świetności Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych, który można zestawić z czasami rządów prof. Kazimierza Twardowskiego. Kiedy jednak w okresie przedwojennym rozwój szedł w kierunku potęgi i twórczości wewnętrznej, za czasów Kasprowicza skierował się on na zewnątrz, skupiając i jednocząc dla swej ideologii inne organizacje nauczycielskie. Jeszcze nie będąc prezesem TNSW. za moją zachętą bierze udział w pierwszym wstępnym zjeździe delegatów stowarzyszeń nauczycielskich latem 1916 r. w Krakowie i odrazu zaznacza swoją indywidualność w zasadniczych kwestiach. Później latem 1918 r. już jako prezes uczestniczy w zjeździe nauczycielskim w Piotrkowie, gdzie powstaje związek stowarzyszeń nauczycielskich, a Kasprowicz zostaje wybrany pierwszym jego prezesem. Z kolei, już w wolnej Polsce, przewodniczący na tz. sejmie nauczycielskim, swoją powagą uzgadnia dysonanse i łagodzi przeciwieństwa tak, że ostateczne uchwały stają się wytycznymi dla formującej się organizacji polskiego szkolnictwa. Wreszcie doprowadza do zupełnego zjednoczenia Tow. Nauczycieli Szkół Wyższych z warszawskim Stowarzyszeniem Nauczycielstwa Polskiego pod wspólną nazwę Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych (o skrócie dawnym TNSW.) z siedzibą władz w Warszawie, ale obejmujące swą działalnością całą Rzeczpospolitę. Ustępując tym samym z prezesury został jednogłośnie zamianowany pierwszym „członkiem dobrze zasłużonym".

Ale i po złożeniu prezesury nie przestał się interesować TNSW. Gdy wskutek małodusznych intryg niektórych chorobliwie ambitnych jednostek powstał ostry zatarg między Zarządem Okręgu lwowskiego a Kuratorem Sobińskim i sytuacja wydawała się bez wyjścia, jego umiejętne pośrednictwo doprowadziło do zgody i współpracy dla dobra szkoły polskiej. Jak potężną i twórczą indywidualnością był on i na tym polu, okazało się rychło po jego ustąpieniu. Związek Stowarzyszeń stopniowo zamarł, a obok TNSW. powstał szereg innych coraz bardziej ciasnych stowarzyszeń, przeciwstawiających się zarazem Twu i wzajem rywalizujących. Ambicja pewnych jednostek i intrygi „sanacji" doprowadziły w miejsce zjednoczenia i organizacji do rozproszkowania nauczycielstwa także szkół średnich i wyższych co tak imponowało zagranicy, a nie było dostatecznie silnej indywidualności, któraby, jak Kasprowcz, potrafiła porwać za sobą ogół.

* * *

Na osobną kartę zasługuje działalność Kasprowicza jako profesora i rektora Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, wchodzi to jednak poza zakres moich osobistych wspomnień i wymaga osobnego omówienia.

* * *

Ostatni raz widziałem Kasprowicza na kilka miesięcy przed jego skonem. Bawiąc na kursie dla nauczycieli w Zakopanem odwiedziłem go w jego Harendzie. Był ciężko chory i nie przyjmował gości, dla mnie jednak zrobił wyjątek. Przyszedł przy pomocy swej małżonki do biblioteki, w której zwrócił mi uwagę na nowe nabytki. Powiedziałem mu, że czytałem jego „Marchołta" i mam pewne niejasności, ale poproszę o wyjaśnienie, gdy wyzdrowieje, bo teraz nie chcę go męczyć. Zatrzymał mnie jednak, ożywił się, wypytywał o interesujące nas kwestie i osoby. Niestety była to ostatnia nasza rozmowa, przedwczesna śmierć nie pozwoliła na interpretacje „Marchołta".

Odważyłem się podać garść tych drobnych wspomnień osobistych raz, by oddać hołd tej niepospolitej postaci w dwudziestolecie jego śmierci, a powtóre, by utrwalić szczegóły z Jego życia choć drobne, ale mniej znane, a świadczące o Jego tak znacznej wielostronności umysłu i pracy.

---

[1]) Więźnia stanu z epoki przed powstaniem styczniowym.

[2]) Charakterystyczne było wypowiedzenie się jednego ze starszej generacji o wyraźnie prusofilskim nastawieniu: „Mam ginąć, to wolę w krynicy niż w gnojówce". Na to dostał może szorstką ale trafną i zasłużoną odpowiedź jednego z młodszych: „Pan myśli o śmierci, a my o życiu Narodu; stąd trudno nam zrozumieć się i porozumieć".

[3]) Dr Benedykt Dybowski, profesor zoologii w Uniwersytecie lwowskim, ongiś członek rządu narodowego Traugutta i sybirak, był wielkim apostołem wstrzemięźliwości. Założył w r. 1902 towarzystwo „Eleuteria", do którego pozyskał też m. i. Kasprowicza, ale tylko na rok.

[4]) „Liga Narodowa" powstała w miejsce założonej w r. 1887 przez pułkownika Zygmunta Miłkowskiego (T. T. Jeża) „Ligi Polskiej" drogą usunięcia z niej osób zależnych od organizacji międzynarodowych i przeniesienia ośrodków kierowniczych do kraju. Dokonali tej przemiany Zygmunt Balicki, Roman Dmowski i Jan Ludwik Popławski w r. 1893, a Miłkowski dał swoją aprobatę. Odtąd stała się „Liga Narodowa" organizacją wszechzaborową, oczywiście tajną, obejmująca przez podległe jej organy szerokie rzesze społeczeństwa, a zwłaszcza młodzież, i szkoląca je w duchu ogólnopolskim dla „zjednoczenia i niepodległości Ojczyzny". Przestała istnieć po zdobyciu tych ideałów, a po przewrocie majowym jej miejsce zajęcia jawna organizacja: „Obóz Wielkiej Polski (O. W. P.)", rychło zniszczony przez ówczesny rząd.

[5]) W Krakowie m. i. należeli do Ligi Włodzimierz Tetmajer i Wincenty Witos. Pierwszy z nich przedstawił na zebraniu Koła Polskiego wniosek, wedle którego cały naród polski i jego reprezentacja parlamentarna domaga się bezwzględnego zjednoczenia i niepodległości, która to uchwała była punktem zwrotnym polityki oficjalnej Koła przekreślająca wszelkie „austropolskie" rozwiązania.

Mgr Stanisław Gołębiowski

ROLA I ZNACZENIE KOLEGIUM LUBRAŃSKIEGO I KOLEGIUM JEZUICKIEGO W XVI, XVII i XVIII WIEKU DLA WIELKOPOLSKI

Z początkiem XVI wieku, Poznań był już miastem ludnym i bogatym, liczącym około 25.000 mieszkańców; rozwijał się tu przemysł, kwitnął handel, wzrastały cechy rzemieślnicze i podnosiła się oświata.

Pomimo tego posiadał Poznań tylko dwie szkoły: miejską przy kościele Farnym, zwaną niższą, i tumską albo katedralną, wyższą. Nie było atoli uniwersytetu, który mógłby zaradzić brakowi wyższego naukowego wykształcenia. Ówczesna młodzież wyjeżdżała na studia do Krakowa, Niemiec, Włoch lub Francji[1]). Lecz nie każdy mógł studiować na zagranicznych uniwersytetach, na te zapisywała się tylko młodzież zamożna a uboższa musiała wegetować lub poświęcać się innym gałęziom pracy. Wskutek tego marnowało się wiele talentów.

Myśl założenia uniwersytetu w Poznaniu podjął biskup poznański Jan Godziemba Lubrański i wcielając w czyn plany swoich poprzedników założył w Grodzie Przemysława w 1519 roku od tak dawna oczekiwaną, wyższą uczelnię, która wkrótce dodała całej Wielkopolsce niemałego blasku i znaczenia jako siedziba słynnej na całą ówczesną Polskę Akademii Lubrańskiego[2]). Taką nazwę otrzymało Kolegium od swego założyciela, który w rok po swym dziele umarł, nie doczekawszy się jego rozkwitu. Jan Lubrański był to mąż światły, zamiłowany w naukach i gorliwy opiekun Akademii, to też krzątał się chętnie około jej uposażenia, jak również starał się o odpowiedni dobór sił nauczycielskich[3]). Przywileje Akademii potwierdził król Zygmunt I. w 1520 r. i według statutu była ona kolonią Akademii Krakowskiej, od której otrzymywała początkowo profesorów i rektora. Składała się z pięciu katedr: matematyki i astronomii, retoryki i dialektyki, poezji, gramatyki i teologii[4]).

Po śmierci swego założyciela nie upadła i rozwijała się dalej, pozostając pod troskliwą opieką następców Lubrańskiego. Twórcy przyświecał podwójny cel w założeniu Akademii: z jednej strony pragnął podnieść oświatę i krzewić nowy kierunek umysłowy — humanizm, z drugiej — kształcić młodych adeptów — kapłanów na przyszłych szermierzy wiary katolickiej przeciw szerzącej się gwałtownie reformacji w Wielkopolsce[5]). Zadanie to spełniała zaszczytnie Akademia i wydała wielu słynnych później ludzi, jak np. Strusia, Klemensa Janickiego i Leszczyńskiego, przywódcę reformacji w Wielkopolsce.

Zasłynęli w niej wybitni profesorowie, których biskupi poznańscy sprowadzali nieraz z zagranicy. I tak następca po Tomickim, biskup Jan Latalski wezwał z Lipska głośną wówczas sławę naukową — Krzysztofa Hegendorfera, Niemca, wybitnego humanistę[6]). On to dodał Akademii nowego blasku i chwały tak, że zyskała rozgłos i zasłynęła w całej ówczesnej Polsce, a nawet i w Niemczech. Młodzież zewsząd tłumnie ściągała do Poznania aby czerpać

wiedzę, słuchając wykładów znakomitych uczonych. W tym czasie Akademia Lubrańskiego stała na wyższym szczeblu naukowym niż Krakowska, na której panował zastarzały kierunek scholastycyzmu.

Kwitnący stan Akademii nie trwał długo. Do jej upadku przyczyniło się ustąpienie z katedry Krzysztofa Hegendorfera. Przeciwnikiem tegoż był Grzegorz z Szamotuł a jako szermierz scholastycyzmu i katolicyzmu i dawny profesor Akademii Krakowskiej wystąpił przeciw Hegendorferowi dlatego, że ten wydawał pisma o treści heretyckiej i z katedry głosił hasła reformacji. Hegendorfer ustąpił i wkrótce umarł, jako pastor protestancki[7]). Grzegorz z Szamotuł został później rektorem Akademii, która nie odzyskała już tej dawnej świetności zwłaszcza, że biskup Latalski, opiekun Kolegium przeniesiony został na biskupstwo krakowskie[8]).

Do upadku Akademii przyczynił się również brak funduszów na uposażenie profesorów i otwarcie Kolegium Jezuickiego w 1573 roku. Najgorsze czasy nastały dla Akademii w latach 1550—1560[9]). Młodzież gromadnie przenosiła się do szkół jezuickich, ponieważ tam udzielano nauk bezpłatnie, lub wyjeżdżała na studia zagranicę.

Nie dopuściła do zupełnego upadku Akademii kapituła poznańska a zwłaszcza biskup poznański Andrzej Czarnkowski, który przeprowadził jej reorganizację, sprowadziwszy do niej wybitniejszych profesorów i kaznodziejów jak np. Benedykta Herbesta i Grzegorza z Sambora[10]).

Benedykt Herbest — głośny wówczas humanista i profesor Akademii Krakowskiej rychło podniósł Kolegium Lubrańskiego i wrócił mu dawną świetność.

I znowu jak za Latalskiego garnęła się licznie młodzież na studia do Akademii i to nie tylko z Polski, lecz także z Litwy, ze Śląska a nawet z Moraw[11]). Jednakże okres jej świetności był bardzo krótki, gdyż z końcem XVI wieku znów upada. Dzięki sufraganowi kujawskiemu Janowi Rozdrażewskiemu, który nie dopuścił do zupełnego jej upadku lecz przeciwnie, po nadaniu jej nowego statutu i po hojnym uposażeniu[12]), w czym później znalazł naśladowców-dobroczyńców, przyczynił się do podniesienia jej poziomu na krótki jednak okres czasu[13]). Owoc pracy Rozdrażewskiego i jego następców nie był również trwały, bo Akademia zaczęła znów upadać do tego stopnia, że poziom jej równał się szkole średniej. Wkońcu zamknęła ją Komisja Edukacji Narodowej w 1780 roku a na jej miejscu, jak również pojezuickiej szkoły utworzyła szkołę wydziałową[14]).

Kolegium Lubrańskiego nie było uniwersytetem w ścisłym tego słowa znaczeniu, bo nie miało prawa nadawania stopni naukowych, a należało do typu gimnazjów akademickich, wyższych jednak poziomem naukowym od szkół średnich[15]).

W przeszło pół wieku po założeniu Akademii Lubrańskiego a mianowicie w roku 1573 powstało Kolegium, założone przez Jezuitów t. zw. Jezuickie. Na powstanie wspomnianego Kolegium wpłynął w głównej mierze biskup po-

znański Adam Konarski, który sprowadził Jezuitów już wcześniej do Poznania i sam nakłonił tychże do założenia Kolegium, i takim był opiekunem i fundatorem tegoż, jak biskup Lubrański Akademii Poznańskiej[16]). Kolegium to należało również do typu gimnazjów akademickich, jakich wiele było w Niemczech, ale nauka stała tam bardzo wysoko i dorównywała a czasem nawet przewyższała Akademię Krakowską. Jezuici zaś wzbogaciwszy się niezmiernie i założywszy już kilka kolegiów, zaczęli dążyć do tego, aby swoje kolegium poznańskie przemianować na akademię. I zdawało się, że w krótkim czasie urzeczywistnią te zamiary, gdyż na otwarcie wyższej uczelni w Poznaniu uzyskali przywilej od króla Zygmunta III w 1612 roku[17]). Plan Jezuitów polegał na tym, że zamierzali utworzyć z Kolegium w Poznaniu akademię o dwóch wydziałach: filozoficznym i teologicznym, które miały skupić młodzież wielkopolską i odciągnąć ją od emigrowania na zagraniczne najczęściej niemieckie, protestanckie uniwersytety, a przy tym zdobyć wpływ na jej wychowanie i kierunek umysłowy. Przez założenie wyższego ośrodka naukowego w Poznańskim pragnęli Jezuici również zatamować szerzący się wpływ reformacji; młodzież bowiem wielkopolska chętnie przyjmowała hasła reformacji i propagowała je znajdując wielu zwolenników[19]). Atoli na przeszkodzie do urzeczywistnienia projektu stanęła Akademia Krakowska, która mając już w Poznaniu swoją kolonię, Kolegium Lubrańskiego, uważała ten krok Jezuitów za ubliżenie przeciwko swoim prawom, ponieważ sądziła, że ona jedna miała wyłączne prawo zakładania nowych akademii. Wobec więc tego, że Jezuici wkroczyli w zakres jej działania, Akademia Krakowska, broniąc swego prawa (przywilej eclusionis) interweniowała w Rzymie u papieża Pawła V, który w listopadzie 1613 roku wydał bullę, zabraniającą Jezuitom zakładania szkół akademickich. Akademia Krakowska wyszła więc zwycięsko z tego sporu z Jezuitami[20]). Cała jednak ta walka Jezuitów z Akademią Krakowską o prawo zakładania nowych kolegiów czy też akademii polegała na walce o chleb. Jezuici nauczali bezpłatnie, natomiast profesorowie Uniwersytetu Krakowskiego pobierali dodatkowe opłaty za promocje i stąd obawa o utratę posad[21]). Młodzież garnęła się licznie do kolegiów jezuickich, opuszczając Akademię Krakowską, jak poprzednio Kolegium Lubrańskiego. Nic więc dziwnego, że Alma Mater Cracoviensis tak ostro i bezwzględnie broniła swych praw i przywilejów i taką gwałtowną walkę prowadziła z Jezuitami.

Jezuici wszakże nie dali za wygraną i ponowne ich starania doprowadziły do uzyskania w 1650 roku przywileju, na mocy którego mieli prawo podnieść istniejące swoje Kolegium w Poznaniu do stopnia akademii. Przywilej atoli okazał sę bezużytecznym, ponieważ kapituła poznańska wymogła na kanclerzu wielkim koronnym Andrzeju Leszczyńskim, że powstrzymał się od opatrzenia go pieczęcią. (Przywilej bez pieczęci był nieważny)[22]).

Ostatnia próba Jezuitów założenia akademii w Poznaniu, mimo że i tym razem uzyskali przywilej od Jana III. Sobieskiego w 1678 roku w Jaworowie, nie dała pomyślnego wyniku[23]). Akademia Krakowska, wykorzystując wpływy

panów świeckich na dworze królewskim doprowadziła do tego, że król cofnął przywilej[24]). Wobec więc tego Jezuici zwrócili szczególną uwagę na Kolegium. Król Stanisław Leszczyński i córka jego Maria, królowa francuska, ufundowali gabinet fizyczny, który urządzili dwaj mężowie: wybitny matematyk Ignacy Chmielewski i ks. Józef Rogaliński, znakomity profesor fizyki doświadczalnej. Ten ostatni własnym sumptem (30.000 zł. pol.) zaopatrzył pracownię fizyczną i obserwatorium astronomiczne w przyrządy i narzędzia naukowe oraz zorganizował bezpłatne, publiczne wykłady z fizyki doświadczalnej[25]).

Kolegium Jezuickie w Poznaniu przechodziło ciężkie chwile w czasach Konfederacji Barskiej i pierwszego rozbioru Polski, lecz nie upadło i istniało aż do kasaty zakonu Jezuitów w 1773 roku. W tymże roku Komisja Edukacji Narodowej zniosła katedry filozofii i teologii, a zatrzymała szkołę pojezuicką, która dotrwała do roku 1780[26]).

Ks. Rogaliński zabiegał nawet o utworzenie z Kolegium Jezuickiego pełnego uniwersytetu, lecz jego wysiłki okazały się bezowocne. Gdy został rektorem Kolegium podpisywał się „rektor Akademii Wielkopolskiej" a nie Poznańskiej, prosząc członka Komisji Edukacji Narodowej ks Augusta Sułkowskiego, aby wyjednał w Komisji zatwierdzenie tej nazwy[27]). Starania ks. Rogalińskiego o przeistoczenie Akademii Wielkopolskiej na uniwersytet nie odniosły pożądanego skutku[28]). Komisja Edukacji Narodowej bowiem uchwaliła w roku 1780, aby uniwersytetami były odtąd tylko Akademia Krakowska i Wileńska. W tymże roku Komisja Edukacyjna zwinęła także i szkołę Lubrańskiego, jak i Kolegium Jezuitów a utworzyła na ich miejsce szkołę wydziałową o sześciu klasach, zależną od Szkoły Głównej Koronnej. Szkoła ta umieszczona została wraz z profesorami w kolegium pojezuickim[29]). W roku 1789 gabinet fizyczny i astronomiczny, urządzony przez ks. Rogalińskiego, podzielony został przez Komisję Edukacji Narodowej, urzędującej pod przewodnictwem Jana Śniadeckiego. Część z dawnych zbiorów jezuickich zabrano i przewieziono do Warszawy, reszta pozostała na miejscu[30]).

Aczkolwiek starania takich mężów jak ks. Rogalińskiego w celu przemianowania kolegium jezuickiego na pełny uniwersytet nie odniosły żadnego skutku, to jednak obydwie placówki naukowe miały wielkie znaczenie dla nauki polskiej w XVI, XVII i XVIII wieku w Wielkopolsce. Korona miała bowiem Akademię Krakowską, nieco później powstały nowe akademie: Wileńska za Stefana Batorego oraz Zamojska założona przez Jana Zamojskiego. Wprawdzie Akademia Lubrańskiego powstała znacznie wcześniej w 1519 roku, lecz nie rozwinęła się tak, jak Wileńska. Najznacniejszy jej rozwój przypada na wiek XVI, wiek humanizmu i wówczas odegrała dominującą rolę w życiu naukowym Wielkopolski. Wielkopolska dorównała swoim poziomem umysłowym Koronie i Litwie.

---

[1]) Łukaszewicz J. Obraz Historyczno-statyst. miasta Poznania w dawnych czasach. 1858. t. I, s. 61.

[2]) a) Mazurkiewicz K. ks. Początki Akademii Lubrańskiego. Poznań 1921, s. 7.
b) Raczyński Edward. Wspomnienia Wielkopolski. Poznań 1843 t. II, s. 177.

c) Laubert Manfred. Die Residenzstadt Posen und ihre Verwaltung im Jahre 1911. Posen 1911, s. 519.

[3]) a) Mazurkiewicz ks. Op. cit. str. 14.

b) Morawski Kazimierz. Historia Uniwersytetu Jagiell. t. II, s. 271.

c) Skladny Andreas. Zur Geschichte der Universitätsfrage in Posen. Zeitschr. der Histor. Gesellsch. f. d. Provinz Posen 1895, s. 358—364.

[4]) Barycz Henryk. Problem Uniwersytecki w Polsce w XVI w. a) Przegląd Współczesny. Poznań 1931, s. 236. b) Mazurkiewicz Karol ks. Pocz. Akad. Lubr. str. 8.

[5]) Barycz H. Op cit., s. 236 i n.

[6]) Mazurkiewicz ks. Op. cit. s. 38.

[7]) Mazurkiewicz ks. Benedykt Herbest, s. 161—162.

[8]) Tamże, s. 158.

[9]) Mazurkiewicz ks. Benedykt Herbest, s. 173—179.

[10]) Mazurkiewicz ks. Pocz. Akad. Lubr., s. 166.

[11]) Łukaszewicz J. Obraz Histor. Statyst. t. II. s. 14, także Mazurkiewicz ks. — Benedykt Herbest, s. 169.

[12]) Łukaszewicz J. Hist. szkół w Koronie i w Wielk. Ks. Litewskim, t. III, s. 487

[13]) Tamże. t. III, s. 502.

[14]) Tamże, s. 503—504 oraz A. Skladny. str. 362—3.

[15]) Mazurkiewicz ks. Pocz. Akad. Lubr., s. 119 oraz Wojtkowski A. Czy Akademia Lubrańskiego była uniwersytetem? Kronika miasta Poznania 1932, s. 118—120.

[16]) Chotkowski Ks. Szkoły Jezuickie w Poznaniu 1573—1653. Kraków 1843, s. 4 i n. także Łukaszewicz. Historia Szkół. t. III, s. 505—508 oraz t. IV, s. 133—7.

[17]) Załęski Stanisław ks. Jezuici w Polsce. Lwów 1901, t. II, s. 143 i n.

[18]) Łukaszewicz J. Historia Szkół w Koronie i w Wielkim Księstwie Litewskim od najdawn. czasów aż do r. 1794, t. I,130—132 oraz Obraz Historyczno-Statystyczny Miasta Poznania w dawniejszych czasach, t. II. s 23 i n.

[19]) Załęski Stanisław ks. Jezuici w Polsce, t. II, s. 145—150 i n.

[20]) Łukaszewicz J. Historia Szkół w Koronie i w W. Ks. Lit. , t. I, s. 130—132.

[21]) Załęski St. ks. op. cit. t. II, s. 136 oraz Jezuici w Polsce, (w skróceniu). Kraków 1908, s. 55.

[22]) Łukaszewicz J. Historia Szkół w Koronie i w Wielkim Księstwie Litewskim. t. I, s. 133 i n. i t. II, s. 156—157.

[23]) Łukaszewicz J. Obraz HistorycznoStatystyczny Poznania, t. II, s. 23.

[24]) Łukaszewicz J. Historia Szkół w Koronie i w Wielkim Księstwie Litewskim. t. I, s. 169. także Chotkowski Władysław ks. Szkoły Jezuickie w Poznaniu, s. 46.

[25]) Bednarski Stanisław Ks. T. J. Upadek i odrodzenie szkół Jezuickich w Polsce. Kraków 1933, s. 68 i 359—367.

[26]) Łukaszewicz. Hist. szkół t. III. s. 503—504. Także A. Skladny op. cit. s.362—3 i M. Laubert op. cit. s. 519.

[27]) Chłapowski Franciszek. Życie i prace Ks. Józefa Rogalińskiego. Poznań 1902 cz. I. s. 59 odb. z XXVIII t. Rocz. Tow. Przyj. Nauk Pozn. cz. II. Poznań 1905 s. 92. Odb. z XXXI. R. Tow. Przyj. N.

[28]) Chłapowski. cz. II. s. 38—49.

[29]) Łukaszewicz. Historia Szkół. t. IV. s. 137.

[30]) Ks. Bednarski. Upadek i odrodzenie Szkół Jezuickich. s. 361.

Henryk Przybylski — Szamotuły

GRZEGORZ SNOPEK Z SZAMOTUŁ REKTOR UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

Działo się w październiku, roku 1537. W dzień św. Gallusa — jak to było zwyczajem od stu lat — zebrał się senat Akademii Jagiellońskiej by wybrać rektora na zimowe półrocze. Akademia cieszyła się wtedy jaknajlepszą sławą. Ściągali do niej ze wszech stron nie tylko żacy ale i sławni nauczyciele. Co roku zapisywało się prawie 250 studentów, razem zaś było ich wówczas około (3000) trzech tysięcy. Rektor Akademii opiekę swoją roztaczał jeszcze nad 12 szkołami parafialnymi w Krakowie, z których najliczniejsza była przy kościele Panny Marii, liczyła około 60 żaków. Nie łatwe zadanie miał Senat. Boć, chociaż co roku wybierano rektora spośród 40 profesorów, tym razem była wielka trudność w doborze kandydata, z którego zadowoleni by byli król Zygmunt Stary i nowo mianowany biskup krakowski, Chojeński — kanclerz uniwersytetu. Od kilku lat skarżyli się profesorowie przed królem na młodzież szlachecką. Poczynała ona omijać Akademię Krakowską, wyjeżdżała na wolnomyślne uniwersytety niemieckie, wabiona nauką Lutra. Król w najbliższych dniach zamierzał wydać przestrogę dla tej młodzieży, grożąc jej, że po przyjeździe do kraju nie będzie mogła piastować żadnych urzędów w Polsce. Starzy profesorowie scholastyczni bali się owego nowinkarstwa religijnego, zarażającego naszą młodzież, młodzi byli bardziej tolerancyjnymi.

Należało więc rektorem wybrać człowieka energicznego, którgby mężnie stawił czoło owemu zalewowi, idącemu z luterskich Niemiec i szerzącemu się coraz bardziej upadkowi moralnemu studentów.

Podczas, gdy senat trwał na wyborczej naradzie, przed gmachem Akademii gromadzili się żacy. Gromada rosła. Z różnych burs się schodzili. Kilkudziesięciu przybyło z bursy „Jeruzalem", wielu z bursy ubogich, "kanoniści" stawili się gremialnie. Była to gromada wielobarwna[1]). W obcisłych spodniach i kolorowych topieniakach, t. j. skróconych tunikach, rzemykiem przepasanych, od którego zwisał mieczyk, na głowie — że to był październik — mieli mycki ze zwykłego sukna lub też kitajki czy czamletu przystrojone piórami, na nogach zaś również kolorowe trepki.

Często też wśród gromady kręcili się, zwłaszcza starsi, w długich aż do kostek tunikach koloru szarego. Tunika miała końce rękawów czerwono oblamowane. Na głowach, miast mycki, nosili czworoboczne birety. — To byli bakałarze. Magistrzy sztuk wyzwolonych mieli na głowach okrągłe birety. Ci ostatni przypominali żydów w chałatach.

Rosnąca gromada, różna wiekiem, stopniami wykształcenia i kolorem strojów, przedstawiała się bardzo ciekawie. Wielu z nich — że to była uroczystość uniwersytecka — ubrało się co prędzej w długą, aż po kostki togę, zwaną talardem, drapując ją w piękne fałdy.

Trwali w oczekiwaniu.

Szeptem i gestami podawali sobie jakoweś znaki. Najbardziej ruchliwymi byli Węgrzy, których wprawdzie już nie tak wielu było jak w latach poprzednich, jednak i dziś — podczas tak ważnej chwili — okazywali swą wrodzoną niechęć do niemieckich kolegów.

Tymczasem pod Sukiennicami gromadzili się jacyś inni ludzie. Byli to poeci humanistyczni i epigramatycy [2]), w wielkiej mierze przesiąknięci nowinkami religijnymi. Stali tam: Piotr Rydzyński, Paweł z Krosna, Jakub z Sieradza, Jerzy z Lignicy zwany Libanus, rektor szkoły Mariackiej, Węgier, Jan Babtysta z Novosolio, wielki Cycerona wielbiciel, który po domach prywatnych czytywał książki wielkiego pisarza rzymskiego. Byli tam też: Franciszek Mimer z Loewenberga na Śląsku, Wolfgang Droschius, Ślązak z Hirszberga i Jerzy Albinus z Koźmina, co to w rozlicznych elegiach sławę domu Bonerów głosili. Do gromadki tej przystąpił inny jeszcze Ślązak, Anzelm Ephorinus, pochodzący z Friedeburga, lekarz i wielki uczony, opiekun Jana Bonera w podróży naukowej po różnych uniwersytetach, z której co dopiero wrócił. Witali go dawni koledzy i przyjaciele. Witał go Andrzej Trzycieski i wypytywał o nowiny i Mikołaj Rej, któremu roczne studium w bursie „Jerozolimskiej" »mało albo nic pomogło, bo już rozumiał, co to jest dobre towarzystwo«.

Wielu spośród nich czuło urazę do Akademii Jagiellońskiej i jej starych, scholastycznych profesorów. Przecież i oni byli jej profesorami, tylko jakoweś podejrzenia i knowania spowodowały, że musieli zaprzestać wykładów gramatyki języków starożytnych, albo nawet ustąpić z katedr. Dzisiaj zbierają się u Trzycieskiego albo w możnym domu Bonerów.

Od strony uniwersytetu dolatywały okrzyki i jakieś hałasy. To żacy wznosili wiwaty na cześć nowego rektora.

Do gromady poetów nadbiegł zadyszany młody lekarz, profesor Mikołaj Sokolnicki i jak bomba wystrzelił: „Grzegorz" rektorem!!

Który Grzegorz? — zapytał nieobeznany po długiej nieobecności Ephorinus.

„Snopek" z Szamotuł, sławny archidiakon poznański, wróg Hegendorfera — dodał bez zachłyśnięcia Sokolnicki. I złorzecząc na Grzegorza, zaklął siarczyście. Po chwili, gdy nabrał odrobinę powietrza, wyleciało mu jak z procy: toć „siewca wszystkiego złego w uniwersytecie, któremu serce sam diabeł zaszczepił" [3]).

Wstyd to będzie nie lada, że najwyższą szkołą w Polsce ma rządzić ten buntownik — rzecze Rydzyński.

Jakim prawem wybrali go na to stanowisko? — pyta Paweł z Krosna.

Takim prawem, że był najstarszym spośród nas, a był też i dziekanem wydziału prawników. Wszyscy scholastycy podnosili jego zasługi i też jednomyślnie za nim się opowiedzeli — dorzucił zrezygnowany Sokolnicki.

Pamiętacie jego brata, Szymona, co to przed 10 laty z Sokolnickim promowany był na doktora medycyny? — Ten Szymon był zupełnie innym — wtrącił Jakub z Sieradza i jeszcze coś zamierzał powiedzieć...

....ale wiwaty żaków stawały się coraz głośniejsze. Szli w pochodzie na rynek obwieścić nowego rektora. Zgiełk, krzyki, nawoływania, bicie w kotły, odgłosy trąbek towarzyszyły pochodowi. A ta cała pstrokacizna lała się jakgdyby powódź najstraszniejsza i pełno jej było w uliczkach i korytarzach. Jacyś przybłędzi zmieszani w tłumie nawoływali do pochodu na sobór protestancki.

Poeci z podziwem i trwogą patrzyli na ten jedyny w swoim rodzaju pochód.

Najbardziej zadowoleni z nowego rektora byli żacy z bursy Jerozolimskiej. Zaszczyt ich spotkał. Przecież ks. Grzegorz był długoletnim seniorem ich bursy. Szli gremialnie, a było ich około 200. Również „Kanoniści" kroczyli obok siebie i cieszyli się, że rektorem został dziekan wydziału prawników. Surowym jest — mawali — ale wyrozumiałym dla biednych.

Poeci chętnie widzieliby na stolcu rektorskim któregoś z młodych profesorów, nigdy zaś nie będą mogli ścierpieć surowego w obyczajach scholastyka ks Grzegorza. Zbyt dobrze dał się już poznać jako zawzięty wróg nowatorów, nowinkarzy religijnych a przede wszystkim miłośników niemczyzny, którzy podstępem starali się wkraść do grona profesorów uniwersytetu.

Przecież przed kilkunastu laty — wtrącił Trzycieski — byliśmy świadkami gdy toczył formalną walkę z młodym naszym kolegą Libanem. Liban, wykształcony wszechstronnie, wielki znawca kultury starożytnej, przyciągał młodzież piękną mową grecką

Właśnie około roku 1520 — przerwał Jerzy z Lignicy, zwany Libanem — zapowiadałem wykłady gramatyki greckiej, gdy jacyś ludzie zaczęli mnie prześladować. Lecz wnet się dowiedziałem, że starzy profesorzy podejrzewają mnie o nowinkarstwo i sianie zarazy luterskiej wśród studentów. Podejrzenia były tym większe, bo nie znano jeszcze na uniwersytecie języka greckiego. Zrazu nie dowierzali własnym mniemaniom, dopiero kiedy ks. Grzegorz — podówczas docent uniwersytetu [4]) — wystąpił z oskarżeniem przeciw mnie, w Krakowie powstała wielka wrzawa. Docent narobił tumultu co niemiara. Oskarżył mnie o sianie herezji. Broniłem się jak mogłem, lecz zdanie docenta popierali wszyscy jego koledzy. Żakom odradzali greckiego języka. Musiałem zaniechać zapowiedzianych wykładów. O mało a byłbym utracił rektorstwo szkoły Mariackiej. Śp. Jan Boner obronił mnie wtedy swoim autorytetem.

I ja niemało wycierpiałem, wykładając Hezjoda — przerwał Jakub z Sieradza.

Libanie — dodał Trzycieski — zato w tym roku wystąpiłeś jako dzielny szermierz w obronie greczyzny w Polsce. Kiedyś wydał Ekonomiki Arystotelesa?

Właśnie wczoraj Scharffenberg nadesłał z drukarni pierwszą setkę egzemplarzy. Muszę dodać z dumą, że to pierwsza książka w Polsce drukowana greckimi czcionkami. Poświęciłem ją burmistrzowi naszego miasta, Franciszkowi Bonerowi z wdzięczności za dobrodziejstwa od niego i od jego przodków doznane.

2

UNIWERSYTETU GDAŃSKIEGO BIBLIOTEKA

Toś figla spłatał Grzegorzowi — wtrącił złośliwie Rydzyński.

Ephorinus — który dotąd głosu prawie wcale nie zabierał — przypomniał sobie inne zdarzenie z Grzegorzem. Wstąpmy gdzie — odezwał się — opowiem wam walkę Grzegorza z Hegendorferem. Dowiedziałem się o tej walce od samego Hegendorfera we Frankfurcie nad Odrą.

A — a, coś tam nas doleciało, bąknął ten i ów.

A, że ciekawi byli ujrzeć nową książkę Libana, wstąpili do niego, bo i najbliżej mieszkał.

Na obszernym stole zastali masę książek. Wszyscy byli ciekawi je zobaczyć

Milczenie zapanowało. Każdy z egzemplarzem podchodził do okna i podziwiał.

Piękny druk, czysto, estetycznie wydane.

Liban poczęstował winem.

Kiedy umysły były już wesołe, Ephorinus zaczął:

Tym razem rozegrała się cała historia w Poznaniu [5]). Było to w roku 1533. Biskup Latalski powołał ks. dr Snopka na archidiakonię przy katedrze poznańskiej [6]), równocześnie powierzył mu stanowisko rektora w Kolegium Lubrańskiego. Do Kolegium biskup Latalski sprowadził z Niemiec słynnego uczonego, profesora „humaniorów", Krzysztofa Hegendorfera. Hegendorfer był wyznawcą nauki Lutra. Grzegorz zraził się do niemieckiego profesora. Myślał sobie: jak to, w szkole założonej przez biskupa Lubrańskiego nauczać ma protestant, wyznawca nauki Lutra? Niemiec?

Nie, to niemożliwe! Podejrzewał Hegendorfera o jakąś podstępną robotę. Śledził go. Zaczął badać pisma, które Hegendorfer wydał drukiem, jego podręczniki szkolne. I ks. Grzegorz coraz bardziej był przekonany, że ten luterański, niemiecki profesor źle wychowuje polską młodzież.

Pokłócili się oboje.

Aż tu ks. Grzegorz wymyślił sposób. Sprowadził umyślnie z Krakowa trzech magistrów i wezwał Hegendorfera na publiczną dysputę. W wielkiej sali zebrało się ludzi co niemiara. Do dysputy stanęły dwa obozy: katolicki i protestancki, polski i niemiecki.

Z dwóch przede wszystkim zarzutów miał się Hegendorfer oczyścić, że w wykładach swoich:

1. napada na księży katolickich publicznie, wyzywając ich nawet osłami,
2. że w sercach uczącej się młodzieży polskiej zaszczepia naukę, tchnącą duchem luteranizmu i niemczyzny.

W wyniku dysputy, Hegendorfer został na głowę pobity. Ks. Grzegorz chwalił się, że „ani pisnąć nie śmiał na przedłożone mu argumenty".

Lecz był to dopiero początek walki. Hegendorfer po tej dotkliwej klęsce popadł w ciężką chorobę. Po rocznej przerwie, przeciw ks. Grzegorzowi postanowił zwrócić całe ostrze walki. Podpatruje życie prywatne, śledzi go na każdym kroku. Jedną tylko słabą stronę zdołał odkryć, t. j. że ks. Grzegorz nie był wymownym kaznodzieją. Bada podręczniki prawnicze ks Grzegorza.

Walka wznawia się ze zdwojoną siłą.

Zawezwani dwukrotnie przed biskupa, godzą się tylko pozornie przez podanie ręki.

»Grzegorz publicznie piętnował Hegendorfera. Krzysztof teraz także publicznie piętnuje Grzegorza; za przkładem Lutra przybija na drzwiach kościołów poznańskich obwieszczenie, że ks. archidiakon Grzegorz z Szamotuł w książce swej P r o c e s s u s i u r i s grube popełnił błędy prawnicze i teologiczne, z powodu których gotów jest w publicznej dyspucie stanąć z nim do walki« [7]).

Przez takie postępowanie zaostrzył Hegendorfer całą sprawę.

Grzegorz wydaje drukiem książkę: A n a c e p h a l e o s i s, w której wyliczył wszystkie błędy Hegendorfera. Ten w obawie o życie swoje uciekł się pod opiekę wojewody Łukasza Górki, by mu przydzielił do obrony zbrojnych dworzan. Pod osłoną owej straży rozpoczyna w Kolegium publiczną obronę swoją.

Jednak niewielu musiał mieć wielbicieli w tym północnym mieście, kiedy obecni na sali czynili wszystko, by zaprzestał oskarżać ks. Grzegorza.

Tymczasem bogaci przyjaciele Krzysztofa wyjechali z Poznania. Kapituła, pod nieobecność biskupa, zdobywając się na krok stanowczy, w lipcu 1535 r. wydaliła Hegendorfera ze szkoły jako podejrzanego o herezję. Magister wyprowadził się do Frankfurtu nad Odrą.

Ale i tutaj dosięgnął go Grzegorz. Przez specjalnego wysłańca śle list do tamtejszej akademii, by go usunęła z grona swoich profesorów.

Taki oto jest Grzegorz, zawzięty wróg wszystkiego co pochodzi z Niemiec.

Koledzy z podziwem i w skupieniu wysłuchali Ephorinusa.

Nowinkarze nie lubili Grzegorza z innej jeszcze przyczyny. W każdym jego ruchu, geście, przemowie widzieli jakąś wyniosłość i dumę. Niektórzy byli przekonani, że pochodzi z rodziny słynnych Nałęczów Świdwa Szamotulskich. Tymczasem wtajemniczeni i źli ludzie wytykali jego niskie pochodzenie i śmieszne przezwisko „Snopek" [8]). Dziadka jego przezwano w Szamotułach Snopkiem, może dla tego, że tęgie snopki wiązał, stąd przezwisko przeszło na ojca i syna. Grzegorz nigdy nie wspominał o tym swoim przydomku. Raz tylko zostało zapisane w aktach kapituły poznańskiej, kiedy biskup mianował go archidiakonem poznańskim. Mawiał zawsze, że pochodzi z Szamotuł. Podpisywał się: G r e g o r i u s d e S c h a m o t h u l i.

Tymczasem, kiedy gromadki studentów gorąco gestykulowały a nowinkarze wywlekali na jaw wszystkie sprawy by urągać nowemu rektorowi on Grzegorz z Szamotuł, ubrany w togę profesorską i insygnia władzy rektorskiej, zapisywał coś w grubej księdze. Pomocnym był mu przy tej pracy inny szamotulanin, ks. prof. Marcin Cichosz[9]).

Po skończonej pracy, odłożył Grzegorz gęsie pióro, wzrok zwrócił na północ.

Zadumał się, znieruchomiał. Siedział wpatrzony w jeden punkt.

Zmierzch zapadł. Tylko złoty łańcuch co zwisał na piersi Grzegorza mienił się w blaskach jesiennego słońca.

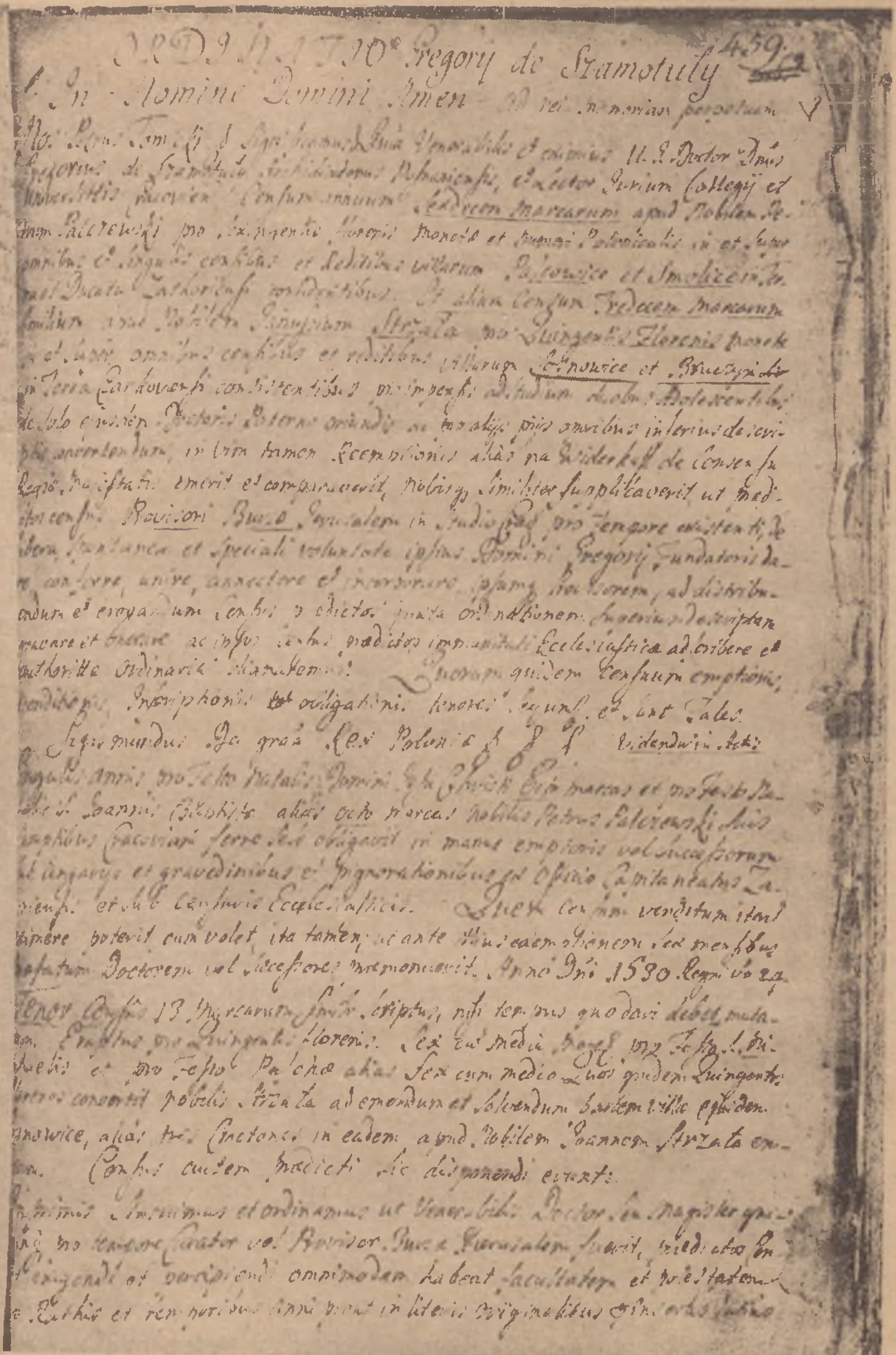

In Nomine Domini Amen

Fot. St. Kolowca, Kraków

Pierwsza strona dokumentu fundacyjnego Grzegorza z Szamotuł z roku 1534 (Rękopis Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nr 76 str 459 — 462)

Grzegorzu! Coś się tak zachmurzył? — zapytał Marcin.

Przypominają mi się owe czasy, kiedy po raz pierwszy przestąpiliśmy progi Akademii.

Wiem, wiem — przerwał Marcin — było to w roku 1499 [10]). Mieliśmy wtedy po 14 lat.

W tem Grzegorz — to już 52 krzyżyk na plecach dźwigam... Miło mi dziś wspominać czasy dziecięce.

Marcinie — pamiętasz tę szkółkę parafialną w Szamotułach? [11])

Przypominam sobie, było nas około 20 dzieciaków. Wszystko do mszy służyć musiało. Rano msza, potem katechizm, kaligrafia, śpiew. Po południu porządek robić w kościele.

Ale pamiętaj — wtrącił Grzegorz — to nie była szkoła parafialna. Szkołę tę ufundował właściciel Szamotuł a opiekował się nią burmistrz miasta. To była jedna z pierwszych szkół publicznych w Polsce...

Wojewoda Andrzej — ciągnął dalej Grzegorz — był dobrym człowiekiem. Ilekroć przyjechał w odwiedziny do swego miasta zawsze przywiózł coś w upominku dla kościoła.

Podobno Piotr Fischer wyrył jego postać na miedzianej tablicy [12]) — dodał Marcin.

Widziałem ją w kolegiacie przed 4-ma laty — rzekł Grzegorz. Na tle gotyckiego sklepienia stoi rycerz w zbroi żelaznej, wsparty o miecz misternej roboty. U nóg szyszak z pióropuszem. W rogu znak herbowy: Nałęcz. Wokół tablicy łaciński napis: Piękna to rzecz. Podobnej tablicy nigdzie nie widziałem, nawet tu na Wawelu.

Wiele mu zawdzięczamy — przerwał Marcin. Bez niego bylibyśmy fornalami na dobrach świdwinskich. On wyniósł nas w daleki świat. O Krakowie wielu marzyło, tylko dwóch nas wybrał.

Pamiętam jak dziś — opowiadał Grzegorz — wiosna była. Rektor zaprowadził nas na zamek Świdów, co za Samą stał, na wzgórzu. Co za przepych, stroje bogate, zbroje, powozy. Wojewoda przyjechał z Poznania po żonę. Właśnie wybierał się na zjazd do Krakowa. Kazał rektorowi przyprowadzić dwóch najpilniejszych żaków. Ale nie przyjął nas, tylko rektorowi coś rozkazał. Rektor do rodziców z nami przybiegł, kazał się do podróży szykować. Jutro o świcie wyjazd, powiedział i wybiegł. Matki w płacz, ojcowie przygadywali. Lament powstał w domach naszych. Siostry tobołki wiązały na drogę. Po trzy floreny zaszyli nam w sukmanach. Matka moja całą noc nie spała. Żałość ścisnęła ją straszna, bała się o swe dziecko. Ale i ja również nie spałem. Co chwilę ścisnęło mnie coś za gardło. Jakieś mamidła latające widziałem w półśnie: to konie, jelenie i inne jakieś widziadła goniły mnie po łące, po polu. To znów szlochy matki dolatywały gdzieś z kąta. Świtać zaczęło. Ktoś zakołatał drzwiami. Matka twoja, Marcinie, przybiegła nas obudzić. Zerwałem się z pośpiechem. Ubrałem się w odświętną odzież. I tyś przybiegł do nas, gotowi byliśmy do drogi. I rektor przyszedł. Przed bramą parku pożegnaliśmy się z rodzicami. Rektor usadowił nas na wozie i rad ostatnich udzielał. Kraków... jak to było daleko... Kilkanaście dni trwała podróż.

W Krakowie — ciągnął dalej Grzegorz — zaopiekował się nami dr Wojciech Krzypa z Szamotuł[13]). Już w roku 1483 przybył na studia do Krakowa. Był dziekanem wydziału filozoficznego. Dobry był to ziomek. Do roku 1504 był nadwornym lekarzem króla Aleksandra. Widzę go jak dziś, gdy chadzał często na dwór, z królem w dalekie podróże się wybierał. Potem u królowej Elżbiety, wdowy, służył. Umarł w młodym wieku, właśnie w rok po mojej promocji na magistra sztuk wyzwolonych.

Był maj 1507 roku. Kapituła gnieźnieńska zaprosiła mnie na stanowisko rektora szkoły katedralnej[14]). Wybierałem się w podróż, gdy niespodzianie zawezwano mnie do śmiertelnie chorego dr Krzypy. Testament sporządzał. Część pieniędzy przeznaczył dla ukochanego swego mistrza i preceptora Stanisława z Biela, cześć dla rodziny, domowników i przyjaciół. I dla mnie coś zbyło. Resztę zapisał na jałmużny dla kościołów, przytułków i szpitali. Żałość ogarnęła nas po jego zgonie. Kilku poetów nawet wiersze napisało na jego cześć.

Zamyślił się Grzegorz. Łezka potoczyła się po jego twarzy...

W dwa lata później — przerwał Marcin — gdy powołano cię na penitencjarza katedry Krakowskiej[15]), ziomek nasz, Mateusz z Szamotuł[16]), co z takim powodzeniem wykładał astronomię i geografię na uniwersytecie, wydał był w transkrypcji dzieło Jana z Hollywood de Sacrobosco o obrotach ciał niebieskich (1522 r.), w którym wysławiał cnoty biskupa Tomickiego.

My Szamotulanie wiele zawdzięczamy biskupowi Tomickiemu. Toć to siostrzeniec wojewody Andrzeja.

I ja nie mniej — mówi Grzegorz — zawdzięczam mu nowe wyniesienie na penitencjarię krakowską.

Pięknie napisał Mateusz o nim. Posłuchaj.

Marcin otworzył trzymaną w ręku broszę i zaczął czytać:

»A chociaż wszystkim bardzo łatwy dajesz do siebie dostęp i bardzo ochotnie służysz pomocą, to jednak szczególną miłością darzysz nasz czcigodny uniwersytet załatwiając jego sprawy mądrze i wiernie u króla, tak że go pod twoją pieczą najwięcej kwitnącym do tego czasu nam zachowujesz, której to łaskawości nie tylko Kolegium i zebranie nasze doświadcza, ale także poszczególni sztuk wyzwolonych profesorowie przez ciebie, są bardzo hojnie nagradzani, którym na domiar nigdy pomocy i fatygi swej nie odmawiasz«.

Pięknie napisał. Rzeczywiście i bratu memu, Szymonowi...

Ktoś do drzwi nagle zastukał i bez proszenia wszedł.

To dr Szymon z Szamotuł[17]), brat Grzegorza.

Winszuję ci bracie tego wielkiego zaszczytu. Dziś spełniły się twoje marzenia. Ale jest to — jak mi się wydaje — podwójna uroczystość. Toć w tym roku właśnie mija 20 lat, gdy cię inkorporowano do wydziału prawniczego[18]).

Z kilkoletnią przerwą — wtrącił Grzegorz. Dwukrotnie w tym czasie opuszczałem uniwersytet. Raz, gdy dekretem królewskim z dnia 21 lutego r. 1526 nadano mi prebendę kanonicką w Poznaniu[19]). Wtedy osobiście wybrałem się do stolicy Wielkopolski by złożyć przysięgę i objąć obowiązki. Lecz tylko

półtora roku tam przebywałem. Potrzebny był w kapitule i szkole kanonik — doktor prawa. I dla tego, że król mnie wysunął, byłem tam potrzebny i cierpiany, lecz nie lubiany. Niskie pochodzenie moje wytykali koledzy herbowi. Wróciłem w r. 1527 ze złością na dawną profesurę [20]). Dopiero, kiedy biskup Latalski powołał mnie w r. 1533 na swego zastępcę, archidiakona poznańskiego [21]), pośpieszyłem tam po raz drugi. Nigdy nie zapomnę dwuletniego kierownictwa Colegium Lubrańskiego.

Jednak wytrwale szedłeś przez życie — wtrącił Szymon — to też Bóg nie omieszkał zaszczycić cię najwyższymi godnościami w kraju. Mimo, że niskie pochodzenie nasze było wielką przeszkodą w zdobyciu wyższego stanowiska, to jednak wytrwałością, silną wolą i nieugiętym charakterem dopiąłeś się godności, których pozazdrościć ci mogą wysoko urodzeni. Grzegorzu! nie chcę cię chwalić — bo gdybym cię chwalił, sam bym się chwalił — ale dumnym możesz być i spokojnym o sławę. Przyjdą czasy, że nas biednych, spodlonych, którzy z trudem szli przez życie, naród uzna za ludzi wartościowych. Chociaż wrogowie twoi nie śpią, nie obawiaj się, daremne ich trudy. Broniłeś wiary świętej i polskości na każdym miejscu, dziś, chociażbyś zaniemógł, obrona ta przekaże cię potomności. Młody poeta, Stanisław Stosławski [22]), napisał dziś wiersz na twoją i Wacława cześć. Posłuchaj. Szymon wyjmuje kartkę papieru z kieszeni i czyta:

Wacławie i ty Grzegorzu, podaliście prawidła Obywatelom jak wiązać uczenie
[dźwięki,
Gdy lud zwykł przy dźwiękach cytry (dla pochodzenia nerwów) wieść wkoło
[wesołe tony.
Prawo i cytra wskazują okrągły bieg, prawidłowo tam, gdzie nigdy nie ma
[określonej granicy.
Skoro wy obaj wskazaliście bieg określoną linią bez wątpienia wyście wytknęli
[granice dla przyszłej drogi.
Którzy nauczyliście słodkich śpiewów w pewnych taktach i ułożyliście proste
[prawa w księgach,
gdy powstaje u nas smutek, winy są przyczyną smutku, gdy powstaje wątpli-
[wość jakie lekarstwo usuwa
zło i usuwa winy, śpiew koi ból: to zawdzięcza każdy z Lechitów Szamotul-
[czykowi.

W roku 1538 sprawuje Grzegorz ponownie godność rektorską [23]). Jeszcze dwa lata widzimy go wykładającego. W roku 1540 otrzymuje probostwo u św. Mikołaja w Krakowie [24]). W rok później, 15 lipca rozstaje się Grzegorz z tym światem w Poznaniu [25]).

Spuścizna naukowa i literacka Grzegorza obejmuje dziesięć książek drukowanych w Krakowie w latach 1524—1541. Kilka z nich doczekało się za życia autora dwóch a nawet trzech wydań. Są to przeważnie dzieła prawnicze.

Pierwszą książką, która Grzegorzowi przyniosła największy rozgłos, był podręcznik teorii procesu prawa kanonicznego, wydany w roku 1524 [26]): Processus iuris brevior. Jest to dość pokaźny tom, zawierający

na 188 stronicach wyczerpujący wykład teoretyczny prawa kanonicznego i praktyczne wskazówki i rady dostosowane do zwyczajów i praktyki naszych sądów kościelnych. W przedmowie zwraca się Grzegorz do dawnego swego kolegi uniwersyteckiego, Jana Karkowskiego, biskupa przemyskiego. Wysławia jego zdolności, zalety serca i wszechstronne wykształcenie. W dowód czci i poważania składa mu tę pracę w ofierze. Z treści książki można poznać, że ks. Grzegorz był nie tylko wielkim znawcą prawa, ale także doświadczonym sędzią. Całość zamyka ciekawy wiersz jakiegoś Ryzyniusza, w którym — uczeń Grzegorza — wysławia swego mistrza z Szamotuł, stawiając go w rzędzie najsławniejszych prawników.

Ważną jest druga książka Grzegorza, podręcznik o przeszkodach małżeńskich p. t.: Enclinidion impedimentorum[27]). Jest to owoc przelotnych wykładów w Kolegium Lubrańskiego. Książkę poświęcił doktorowi obojga praw ks. Janowi Chojeńskiemu, późniejszemu biskupowi krakowskiemu. W dedykacji napisał: „Gdy mile ją raczysz przyjąć, najlepszym to będzie dla mej pracy uznaniem i poleceniem".

W roku 1532 ukazała się drukiem praca: Sermo de indulgeniis bulleque iubilei pro fabrica ecclesie cathedralis Vilnensis a sede Apostolica concesse resolutio, itd. Jest to wykład o istocie i wartości odpustów ze stanowiska prawa kościelnego, poświęcony również aktualnym zagadnieniom dogmatycznym. Cała ta praca powstała w związku z ogłoszonym przez Stolicę Apostolską odpustem i połączonemi z nim składkami na budowę katedry wileńskiej.

Ciekawą jest też ostatnia praca, wydana kilka tygodni przed śmiercią: Repetitio capituli de emptione et venditione cum quaestione de contractus emptionis itd. Jest to studium prawnicze o kupnie i sprzedaży.

Grzegorz nie tylko był tęgim prawnikiem, ale — wbrew mniemaniom Hegendorfera — i doskonałym mówcą. W roku 1530 w imieniu miasta Krakowa i uniwersytetu wita przemową wracającego do stolicy króla Zygmunta Starego. Przemowę wydał również drukiem p. t. Oratio ad augustissimum principem Sigismundum, eius nominis Primum.

Oprócz spuścizny naukowej, pozostawił ks. Grzegorz dobrą pamięć wśród żaków. Ponieważ sam pochodził z niskiego stanu, przeto nie zapomniał o biednych, potrzebujących studentach.

Dnia 5 sierpnia r. 1534 zatwierdził biskup Tomicki dwie fundacje ks. Grzegorza. Pierwsza[28]), bardzo znamienna na owe czasy, mianowicie wynosząca 16 grzywien czynszu rocznego od kwoty 600 złp przeznaczona była dla dwóch biednych a zdolnych studentów z rodzinnego miasta Szamotuł, okolicy albo z Poznania. Korzystać z niej mogli przez trzy lata. Zarząd nad tą fundacją i wybór stypendystów zastrzegł Grzegorz dla siebie i dla swego brata Szymona doktora medycyny. Po ich śmierci (Szymon um. w r. 1544) nadzór nad fundacją miał sprawować najstarszy w uniwersytecie doktór lub magister rodem z Szamotuł z pomocą i radą proboszcza kolegiaty i burmistrza miasta Szamotuł.

Karta tytułowa dzieła Grzegorza z Szamotuł „Processus iuris brevior", wydanego w roku 1524.
(Egz. Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu).

»Fundacja ta ważna jest w dziejach uniwersytetu przez to, iż zapoczątkowała szereg lokalnych fundacji stypendialnych dla młodzieży poszczególnych miast i okolic Polski, jakie dochodzą do skutku w ciągu tego wieku, a jeszcze więcej w ciągu XVII wieku, tak że z czasem nie będzie większego środowiska regionalnego, któreby nie posiadało własnego funduszu stypendialnego« [29]).

Jeżeli dziś, z odległości 400 lat, spojrzymy na ten gest fundatora, to trzeba przyznać, że tą pierwszą w dziejach Polski regionalną fundacją stypendialną zasłużył sobie Grzegorz na dobrą pamięć zwłaszcza na terenie Wielkopolski. Gdyby nic więcej nie zdziałał, gdyby nawet nie ogłosił drukiem dziesięciu swych prac, już przez samą myśl twórczą, którą przyoblekł w realne kształty, wyprzedzając tym samem szeregi pokoleń na terenie Polski i całej niemal Europy, stanąć może obok Janka z Czarnkowa, Jana Ostroroga, Staszica, patrona Jackowskiego, Marcinkowskiego, ks. Wawrzyniaka i tych wszystkich pionierów demokratyzmu w Polsce, którzy kładli podwaliny pod nowy porządek rzeczy. Fundacja ta zasługuje tym bardziej na uwagę, że zrealizował ją człowiek pochodzący z niskiego stanu i to w okresie, kiedy ludzie z tej właśnie warstwy nie mogli i nie mieli prawa zabierać decydującego głosu w kwestiach społecznych ich szczególnie dotyczących. Słusznie też możemy nazwać Grzegorza ojcem polskiego regionalizmu. Jego związek ze środowiskiem rodzinnym jest tak wyraźny i tak dobitny, że — gdyby żył dłużej — zorganizowałby z pewnością związek regionalny wybitnych jednostek urodzonych na terenie swej rodzinnej ziemi.

Druga fundacja [30]), mniej ważna, wynosząca 13 grzywien rocznego czynszu od kapitału 500 złp miała przypaść na cele ściśle uniwersyteckie, mianowicie: na skarbiec uniwersytecki, na stół dla Kolegium Mniejszego, na stół dla wikariuszy św. Anny i dla prowizora, zarządzającego tymi fundacjami.

W roku 1540 uczynił Grzegorz ostatni zapis tym razem na rzecz ukochanego miasta rodzinnego. Mianowicie 1000 (tysiąc) grzywien przeznaczył na szpital w Szamotułach [31]). Nie trudno się zorientować w wielkości owej fundacji. Porównajmy jednak uprzednio niektóre zarobki, wydatki i ceny w pierwszej połowie XVI wieku. Jedna grzywna miała wartość 48 groszy. Tygodniowe utrzymanie studenta w Krakowie wynosiło 12 gr. Oddźwierni, nocni stróże, woźni zostający na usługach miasta Krakowa pobierali tygodniowo do 10 gr. Baran kosztował 10—12 gr, 100 jaj 7 gr. Za 15 grzywien można było dostać na kresach wschodnich całe gospodarstwo z zabudowaniami i inwentarzem. We Wielkopolsce zaś jeden wół kosztował 120 gr, czyli 2 grzywny i 24 gr. Fundacja Grzegorza była zatem bardzo znaczna na owe czasy. Można było za nią nabyć 400 (czterysta) wołów.

Czy na terenie Szamotuł istnieje jakiś widoczny ślad po tej fundacji? Prawdopodobnie dom przy ul. Poznańskiej, obok hotelu Sundmanna, w którym mieszkały kobiety szpitalne, jest jakąś dawną pamiątką po szpitalu — przytułku ufundowanym przez Grzegorza. Kwota zaofiarowana przez Grzegorza na szpital-przytułek w rodzinnym jego mieście świadczy o wielkiej ofiarności, dobroczynności i humanitarności fundatora.

Na wniosek Zarządu Bratniej Pomocy słuchaczy Państwowego Instytutu Robót Ręcznych w Bielsku, Powiatowa Rada Narodowa w Szamotułach, na po-

siedzeniu w dniu 21 czerwca 1946 r. jednomyślną uchwałą wznowiła wiekopomną fundację stypendialną Grzegorza z Szamotuł, ufundowaną w r. 1534 dla dwóch biednych studentów z jego rodzinnego miasta. Fundacji nadano imię Grzegorza z Szamotuł. W uchwale Powiatowej Rady Narodowej zaznaczono, że fundację wznawia się na wieczne czasy. Prawo do korzystania z tego stypendium mają studenci pochodzący z powiatu szamotulskiego.

---

[1]) J. Ptaśnik — Życie żaków krakowskich. 1933.

[2]) K. Morawski — Czasy Zygmuntowskie na tle prądów odrodzenia.
Ks. Warmiński — Andrzej Samuel i Jan Seklucjan.
Ks. dr Bukowski — Dzieje reformacji w Polsce.
Sołtykowicz — O stanie Akademii Krakowskiej.

[3]) Zapiski Sokolnickiego z d. 29. IV. 1527 r.

[4]) Rękopis Bibl. Jagiell. 248, k. 183a.

[5]) Ks Mazurkiewicz — Początki Akademii Lubrańskiego w Poznaniu. 1921.

[6]) Rękopis Arch. Un. Jagiell. 33, str. 128/9 i Acta cap. crac. III 1003.

[7]) Mazurkiewicz — Początki Ak. Lubrańskiego.

[8]) Mazurkiewicz — Pocz. Ak. Lubrańskiego, str. 106.

[9]) H. Przybylski — Szamotulanie z XV i XVI wieku na studiach w Uniw. Jagiell. Przegląd Wielkopolski 1939 r. nr 7/8 i odbitka z r. 1945.

[10]) Album Studiosorum Univ. Crac.

[11]) Łukaszewicz — Opis hist. kościołów w d. diec. pozn., str. 305—6.
Karbowiak — Dzieje wychowania szkół w Polsce, tom III. str. 85 i 251.

[12]) Ks. dr Dettloff — Płyty nagrobkowe Piotra Fischera.

[13]) H. Przybylski — jak wyżej. H. Barycz — Hist. Uniw. Jagiell. str. 227/8.

[14]) Acta cap. Gniesn. nr 2704, str. 596/7.

[15]) Zapiski Biema I. zeszyt IV, 1520.

[16]) H. Przybylski — jak wyżej. H. Barycz — Hist. U. J., str. 156

[17]) H. Barycz — Hist. U. J., str. 230. 235. 238 i notatki moje do pracy na t.: Szamotuły w dziejach kultury polskiej.

[18]) Rękopis Bibl. Jag. 248. k. 183a.

[19]) K. Miaskowski — Kanonicy kat. pozn. instalowani w l. 1524—1532 (Przegląd Kościelny VI. 1904 r., str. 277—8) i Acta cap. Crac. III. k. 15b.

[20]) Rękopis Bibl. Jagiell. 2539, k. 168a.

[21]) Rękopis Arch. Un. Jagiell. 33, str. 128/9 i Acta cap. Crac. III. 100a.

[22]) Szymon Starowolski — Scriptorum Polon. Aec., str. 67.
Jachimecki — Wpływy włoskie w muzyce polskiej.

[23]) Wisłocki — Acta Rectoralia.

[24]) Przegląd Powsz. 1889, I, str. 235.

[25]) Wierzbowski — Matriculorum R. P. Summaria IV. nr 20884.

[26]) Egz. z Bibl. Raczyńskich w Poznaniu.

[27]) K. Piekarski — Miscellanea bibl. w Przeglądzie Bibl. IV, str. 330—4 (z powodu spalenia się pierwszego nakładu w czasie pożaru Krakowa w d. 24. IV. 1528 wydaje Grzegorz ponownie pracę w r. 1529.

[28]) Rękopis Arch. Uniw. Jagiell. nr 76. str. 459—462.

[29]) H. Barycz — Historia Uniw. Jagiell. 1935. str. 207.

[30]) Rękopis Arch. Uniw. Jagiell. nr 47½, str. 195—201.

[31]) Wierzbowski — Matricularum R. P. Summaria, IV. nr 6848.

Z DNI WALK O POZNAŃ 1945

Poniższe wiersze powstały w dniach oblężenia Poznania. Autorka pisała je w schronie i stąd posiadają charakter dokumentu chwili.
Red.

SCHRON

Nad miastem zawisła burza.
Szaleje już. Krwią brzemienna
Mgłą rdzawą niebo zachmurza.
A w dole łuna wojenna
Wkrąg oblężone miasto
Obręczą wiąże ciasną.
I świat wydaje się inny
Świat, który zaginął w dali,
W przepychu gasnących zórz.
Dziś my bezbarwni, bezczynni
Porwani w nurt wrogiej fali
Skłębionych nad głową mórz.

Okręt nasz — nawa podwodna,
W bezpiecznej głębi ukryta,
Rząd masztów sterczy ku górze,
Flaga w mgieł dymy spowita.
A sternik, hen, niewidzialny
W górze, przy burcie, nad tonią
Kieruje okręt w „nieznane"
Swą wszystkowiedzącą dłonią.

Za burtą czai się zgon....
Trzask pękających granatów,
Huk bomb, tysiące pocisków
Walą i biją w nasz schron.
Śmiertelna gra
Trwa i trwa....
I zdaje się, trwa bez końca....
A nasza garstka w udręce
Znużone wyciąga ręce
Do ciszy, przestrzeni, słońca.

Do naszej podwodnej łodzi
Nie zajrzy światełka promień.
Jedynym promyczkiem dzieci.
Ich uśmiech z niedolą godzi.
W nich słodka przyszłość, nadzieja
Tych, którzy przeżyją wojnę,

I kiedyś we dni spokojne
Wspomną minione te dzieje,
I w cichy śnieżysty wieczór,
Gdy biel przypruszy już skronie,
Wspomną koszmarne dni stycznia
Spędzone w wojennym schronie.

NA KRAWĘDZI

Straszno jest być na krawędzi
Tego, co było i jest.
Płyniesz... już fali nurt pędzi...
Okrutną jej chłoniesz treść.
Ale straszliwszą jest krawędź,
Kiedy w szaleńczym rozpędzie
Stajemy w obliczu grozy
Tego, co jest i będzie.

Cień śmierci tchem musnął skronie,
A czoło zwilżył nam chłód.
W skurczonym oplocie dłonie.
Dreszcz lęku, jak biały lód,
Stłoczył serc bicie, ściął krtań,
A bezwład ogarnął członki.
Choćby ktoś krzyknął tu: wstań!,
W bezruchu trwasz i w bezmyśli,
Na życia śliskiej krawędzi,
W obliczu tego, co będzie.

W martwej bezmyśli tli błysk,
Rozświetla pomrokę ciemną,
Wszak każda chwila to zysk,
Wszak życie jeszcze przedemną.
Ach! życie jak barwna smuga
W poświacie jawi się dnia,
A serce, — zwiotczałe serce,
Znów życia symfonię gra.

Myśl trwożna i myśl spokojna,
Nierówna to para kół.
Huśtawka życia, — zła wojna —,
Rzuca nas w górę lub w dół.
I znowu w szaleńczym pędzie
Kapryśny poczujesz jej gest,
Zawiśniesz znów na krawędzi
Tego, co było i jest.

TAK NAS WIELU

Tak nas wielu, tak nam ciasno...
Z stołkami i tłomokami.
Stłoczeni w piwnicznym schronie,
Trącamy się wciąż łokciami.
A jednak gdyby zabrakło
Choćby jednego z nas w gronie,
Odczulibyśmy pustkę,
Choć nas wielu, choć nam ciasno.

Tacy jesteśmy równi,
Tak nas zrównała dola.
Zgodnie chylimy czoła
Przed Boga władczą wolą.
A jednak w sercach tętnią
Odmienne rytmy, moce,
Tacy jesteśmy różni,
Jak różnią się dni i noce.

Tak nam duszno, zbyt nas mnogo.
O dajcie wyjść na swobodę!
Życie bujne, życie młode
Zrówna, zróżni każdą drogę.
Na przestworzu, lotne ptaki,
Rozbijem mury, straszaki,
Wypłyniem na przestrzeń jasną,
Choć nas wielu, lecz nie ciasno.

NAJMŁODSZY

Kochamy go tu wszyscy,
Bo jest wśród nas najmłodszy,
W wiosennym kwiecie lat.
Jesteśmy mu tak blizcy,
Jest z nami za pan brat.
Woła nas po imieniu,
Zabawnie myli słowa,
Nie wie, co w mrocznym cieniu
Wojenna przyszłość chowa.

Taki jest beztroskliwy,
Nieznany mu lęk znojny,
Śmieje się, bawi, krzyczy,
Jakby nie było wojny.

W domu było mu pusto,
Tu w schronie wązką dróżką
Na długie mknie spacery,
Z rozmachem tupiąc nóżką.

Srebrny, niewinny głosik
Wciąż dźwięczy wśród rozgwaru.
Lżej każdy z nas los znosi
Dziecięctwa świadom czaru.
I zdaje się nam w toni,
Że dziecka Anioł Stróż
Z nim razem nas osłoni
Od wojny, gromu burz.

J. W. Szulczewski, Puszczykowo

BOŻĘMĘKI I ICH WPŁYW NA FOLKLOR WIELKOPOLSKI

Ostatni na Wielkopolskę wykonany najazd niemiecki zburzył doszczętnie tak dla krajobrazu charakterystyczne Bożęmęki. Pod tą nazwą lud rozumiał nietylko krzyże i krucyfiksy, lecz także nad drogami sterczące figury Matki Boskiej i Świętych Pańskich. Pomimo, że u ludu stały one w wielkiej czci, przechodnie n. p. obnażali przed nimi głowy i odmawiali modlitwy, dla braku zainteresowania z strony nauki jednakowoż nie doczekały się one źródłowego opracowania. To też razem z nimi przepadły wszelkie wieści z ich niezawodnie ciekawej przeszłości. Niektóre z nich owiane były wieńcem przeróżnych podań, m. i. o pojawiających się „złych" lub pokutujących duchach

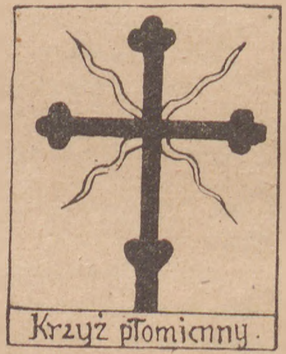

Tym przede wszystkim odznaczały się Bożęmęki stojące nad t. zw. „drogami rozstajnemi" czyli krzyżówkami. Tutaj prawdopodobnie stały one wieki całe, a może pamiętały nawet czasy zamierającego pogaństwa, które to miejsca, z powodu tych dróg zewsząd dostępne, niezawodnie poświęcone były ich zebraniom religijnym. I kiedy pod naporem zwycięsko rozprzestrzeniającego się chrześciaństwa, pogańskie bożki zaczęły się przeistaczać w złe duchy, straszące nocną porą przechodniów, dla uniemożliwienia im tego na tych miejscach stawiano krzyże, które tak, jak znak krzyża św., według wierzeń ludu działają odstraszająco na tego rodzaju zjawy. Tego dowodem jest jeszcze w nowszym czasie w Wielkopolsce spotykamy zwyczaj stawiania Bożęmęk na miejscach popełnionego morderstwa, na których zamordowani, według wierzeń gminu. z różnych przyczyn, głównie zaś z powodu niewykrycia mordercy, musieli „kusić", czyli pojawiać się przechodniom. By ich z tej „pokuty" zwolnić, krewni na miejscu zbrodni fundowali Bożęmęki. W razie braku takiego fundatora, każdy z przechodniów czuł się zobowiązany, dla przywrócenia zamordowanemu spokoju do kładzenia na takim miejscu, znajdującym się przeważnie w lesie, choć jednej gałązki. Jeszcze przed wojną światową zwyczaj ten, wywodzący się prawdopodobnie z pogaństwa w różnych okolicach Wielkopolski należał do nierzadkich. Na takich miejscach powstały z czasem wielkie sterty chróstu, które przez władze usunięte, wnet zaczęły wzrastać na nowo, w ten sposób podtrzymując pamięć o zbrodni, nieraz bardzo dawno popełnionej.

Na przestrzeni wieków Bożęmęki w swym wyglądzie ulegały różnym przemianom. W pierwszych czasach chrześciaństwa niezawodnie stawiano tylko krzyże, które później ustępowały miejsca krucyfiksom, mianowicie wówczas, kiedy kowale z grubej blachy zaczęli wykuwać wizerunki Zbawiciela. Ten krucyfiks nie podlegający gniciu, z jednego krzyża przechodził na drugi. Takie starożytne krucyfiksy dotrwały w Wielkopolsce aż do inwazji hitlerowskiej, nawet w okolicy Poznania. Że drzewo krucyfiksów często odnawiano, tego dowodem rozpowszechniony zwyczaj, przechowywać aż do gwiazdki, także przez ząb czasu zniszczone okazy by je w tym czasie zużyć przy pieczeniu opłatków. Kiedy na wsi zaczęto stawiać Bożęmęki murowane, trudno stwierdzić. Z krzyżów tzw. płomiennych, na najstarszych Bożęmękach spotykanych, wywnioskowano, iż powstały one w drugiej połowie XVII w., kiedy owe krzyże były w zwyczaju. W drugiej połowie XIX w. stawiano je prawie wyłącznie. Posiadały one w górnej części większą wnękę dla ustawienia w niej figury Matki Boskiej, Pana Jezusa lub któregoś z Świętych. Z tego powodu zaczęto je u nas nazywać także kapliczkami, lecz nie słusznie; takie wprawdzie są znane, lecz nie u nas, tylko na wschodnich rubieżach Polski.

Z Bożęmękami łączyły lud przeróżne zwyczaje, stosowane w związkach z różnymi wydarzeniami lub dniami roku. I tak na Wielkanoc, przed Zielonemi Świątkami lub w wigilię Św. Jana, Bożęmęki majono, zaś w pewnych dniach, zależnie od okolicy, młodzież wieczorem zbierała się przed nimi, by odprawić nabożeństwo, na którym śpiewano pieśni nabożne i odmawiano wspólnie modlitwy, zwyczajem ustalone. Umarłemu w drodze na cmentarz sąsiedztwo towarzyszyło gremialnie aż do najbliższej Bożęmęki. Po odmówieniu tutaj modlitw wracali wszyscy, w pogrzebie nie biorący udziału, do domu. By się wyleczyć z „wielkiej choroby" (padaczki) chory na Bożęmęce zawieszał swą koszulę, której unikano się dotknąć, by choroba ta nie przeszła na śmiałka.

Po różnych dawniej stosowanych innych zwyczajach pozostały tylko wspomnienia. I tak w rowie przed Bożęmęką chowano niegdyś samobójców i niechrzcone dzieci. Tych duszyczki, nie mógłszy się dostać do nieba, zjawiały się, jak lud twierdził, nocną porą na Bożęmęcę pod postacią gołębia i prosiły o chrzest. Wówczas przechodzeń, słysząc takie wołanie, wymawiał formułkę chrztu św. „Adamie lub Ewo, ja Ciebie chrzcę w imię Ojca i Syna i Ducha św." Takiemu chrzcącemu w śnie zjawiał się następnie duch dziecka, dziękując mu za wybawienie. Podania także donoszą o bezczeszczaniu Bożęmęki, celem zdobycia strzelby niechybiącej. W Wielki Piątek przed wschodem słońca taki bezbożnik strzelił do Bożęmęki, w następstwie czego, jak lud twierdził, oblała się ona krwią. Według podań zbrodnię taką karano śmiercią przez rozrywanie końmi.

Po zniknięciu zgliszczy niezawodnie pojawiają się u nas nowe Bożęmęki. Można się spodziewać, iż będą one okazalsze niż niektóre z ich poprzedniczek i będą nie bez wartości artystycznej. Czy jednakowoż zdołają one znów odgrywać rolę w życiu ludu, jak poprzednie, przyszłość pokaże. W każdym razie dla osiągnięcia tego celu trzebaby sięgnąć dla nich po wzory do naszej sztuki ludowej.

3

Tadeusz Nożyński, Wągrowiec

W SPRAWIE POPULARYZACJI ŹRÓDEŁ HISTORYCZNYCH

Miniona wojna dokonała, jak wiemy, olbrzymich spustoszeń w naszym dorobku naukowym i kulturalnym. Pastwą celowej dewastacji i planowego wandalizmu oraz działań wojennych stały się zbiory muzealne, archiwalia i księgozbiory dawne i nowe, słowem cały prawie skarb duchowy narodu. To, co pozostało jest zaledwie szczątkiem i tragicznym strzępem dawnego bogactwa.

Kto zdoła — jeżeli chodzi o Wielkopolskę — zrekonstruować Bibliotekę Raczyńskich, archiwa lub liczne zbiory prywatne i społeczne, rozgrabione i zniszczone?

Badacz naukowy przeszłości, wzgl. żądny wiedzy inteligentny obywatel napotyka na wielkie luki i trudności w gromadzeniu źródeł i literatury.

Mimo tego jednak, jak wynika z wzrostu pozycyj prehistorycznych i historycznych w ruchu wydawniczym, praca badawcza nie ustaje lecz rozwija się nadal. Przed historiografią naszą stanęły nowe zadania i zagadnienia, związane ze zmianą naszej aktualnej rzeczywistości, z przyłączeniem Ziem Odzyskanych i objęciem tam pewnej ilości źródeł i zabytków dawniej niedostępnych. Zbliżające się 1000-lecie Państwa Polskiego skierowało zainteresowanie uczonych na kwestie związane ze Słowiańszczyzną, z początkami naszej organizacji państwowej, przyjęciem chrześciaństwa itp.

Społeczeństwo nasze, mimo czasów tak, zdawałoby się, nie sprzyjających „historyzmowi" i naukom humanistycznym, okazuje dużo ciekawości dla przeszłości, szukając dość często genetycznego rozwoju i uzasadnienia zjawisk współczesnych. Ten sam objaw daje się zauważyć i wśród młodzieży szkolnej. Na podstawie obserwacyj z własnej praktyki nauczycielskiej mogę stwierdzić, że młodzież interesuje się zagadnieniami prehistorycznymi i historycznymi, kupuje i chętnie czyta łatwiejsze prace i powieści historyczne, wysuwa na lekcjach pewne tematy i żąda ich wyjaśnienia i rozwiązania.

W związku z tymi zjawiskami nasuwają się pewne postulaty i życzenia.

Jedną z ważnych spraw byłoby rozpowszechnienie wśród szerszego ogółu i młodzieży większych tekstów źródłowych, jak kronik, żywotów etc. w popularnym, przystępnie lecz naukowo opracowanym wydaniu i w tłumaczeniu polskim. (Jako wzór może służyć „Kronika Polska tzw. Galla Anonima", wydana przez prof. R. Grodeckiego w Bibl. Narodowej, „Magna Charta Libertatum" w wydaniu dr Nankego itp. oraz obecnie wydawana Biblioteka Tekstów Źródłowych).

Zachowane jeszcze gdzieniegdzie po wojnie tzw. „Teksty Źródłowe do nauki Historii", wydawane ongiś zeszytami, nie zawsze spełniają, — jeżeli chodzi o obszerniejsze źródła — swoją rolę, gdyż podają ad hoc wybrane wyjątki i fragmenty. Brak tam również wiadomości o autorach i literaturze dotyczącej badań nad danym zabytkiem.

Ze względu na dzisiejsze trudne warunki wydawnicze trzebaby zagadnienie tak rozwiązać, aby publikacja mogła służyć równocześnie celom naukowo-badawczym i dydaktyczno-szkolnym. Musiałaby ona ułatwić badaczom korzystanie z tak trudno dziś dostępnych źródeł, dać młodzieży szkół wyższych

i średnich odpowiednio przygotowaną pomoc naukową i wreszcie podsunąć miłośnikom przeszłości interesujące głosy i opinie z dawnych wieków.

Pobożnym życzeniem byłoby wydanie tekstów dwujęzycznych t. j. przekładu obok oryginału.

Biorąc pod uwagę region wielkopolski, należałoby uwzględnić przede wszystkim źródła mówiące o tej części kraju lub napisane przez Wielkopolan. A wybór jest dość duży, bo, o ile się orientuję, nie mamy dotychczas, poza „kroniką" Galla, żadnego nowoczesnego i poprawnego przekładu i wydania tych zabytków.

Jako jeden zbiór wspólny możnaby np. przełożyć i wydać Żywoty i Pasje św. Wojciecha, postaci tak popularnej w Wielkopolsce, związanej z początkami naszego państwa i organizacji kościelnej, oraz ewtl. „Vita quinque fratrum".

Może pewien interes wzbudziłaby również tzw. „Kronika Wielkopolska", jednakże, ze wzgl. na jej charakter kompilacyjny, ocenę tego zabytku dla celów popularyzacyjnych należy pozostawić kompetentnym uczonym.

Bezwzględnie jednak powinien doczekać się przekładu najpoważniejszy z naszych kronikarzy doby piastowskiej, J a n k o z C z a r n k o w a!

Ani koleje jego życia ani działalność publiczna (mimo szczupłych danych biograficznych dość dobrze przez naukę naświetlone), nie są znane inteligentnemu ogółowi.

Dzieło Janka z Czarnkowa — owoc bezpośredniego udziału w opisywanych wypadkach, quorum magna pars fuit, i obserwacji czasów i ludzi, przepojone osobistymi poglądami i osądami rzeczy, czasem namiętne, czasem nawet stronnicze, wykazujące pewne zacięcie pamiętnikarskie — zasługuje na rozpowszechnienie. Aż dziwne, że dotychczas nikt o tym nie pomyślał. (Przekład Kroniki Janka z Cz., pióra J. Żerbiłły-Łabuńskiego wydany w Warszawie w r. 1905, napewno nie odpowiada warunkom nowoczesnej publikacji tego typu).

W dalszym ciągu możnaby, a nawet zalecałoby się przełożyć obcych pisarzy mówiących o Słowianach i Polsce. W rachubę weszliby tu może m. i. tzw. „Geograf bawarski", Widukind i biskup Thietmar, nieoceniony dla czasów Bolesława Chrobrego. Wymienieni tu autorzy byliby doskonałą ilustracją dziejów naszych walk z Niemcami, działalności naszych pierwszych władców i zasięgu słowiańszczyzny oraz naszych słusznych praw historycznych do ziem nad Odrą i Nysą

Ewtl. zastrzeżenia i zarzuty, że jest obecnie dużo ważniejszych i pilniejszych spraw niż publikowanie „starych szpargałów", nie powinny zniechęcać i odstraszać od podjęcia zadania. Praca rozłożona na dłuższy okres, dokonywana stopniowo, rzeczowo i spokojnie, znajdzie napewno zwolenników i wdzięczne poparcie, a w końcowym wyniku przyniesie pożądane owoce.

Może patronat i kierownictwo tej akcji objęłoby Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu, profesorowie katedr historycznych Uniw. Poznańskiego lub Tow. Miłośników Historii (o ile już wznowiło swą działalność).

Objętość i dobór materiału, sposób i forma pracy wydawniczej byłyby rzeczą fachowej dyskusji.

Na razie chodzi tylko o to, aby myśl rzucona w niniejszym artykule stała się jaknajprędzej faktem realnym i dała naszej nauce i kulturze nową ciekawą i cenną pozycję.

3*

Dr Jerzy Młodziejowski

„HARNASIE" SZYMANOWSKIEGO W POZNANIU

Po raz pierwszy bezpośrednio z muzyką do Harnasiów Karola Szymanowskiego zetknął się Poznań w 1929 roku. Bezpośrednio — to znaczy, że usłyszano ją tu w koncertowym wykonaniu, bo słuch o komponowaniu „góralskiego" baletu doszedł do naszego miasta o wiele dawniej. W „Przeglądzie Muzycznym" bowiem, wydawanym tu przez Wielkopolski Związek Śpiewaczy — pisał artykuły na temat „podhalańszczyzny" Karola Szymanowskiego Adolf Chybiński ze Lwowa, obecnie profesor muzykologii Poznańskiego Uniwersytetu. Wiedziało się tedy — ale nie słyszało. Gdy więc na Powszechnej Wystawie Krajowej w naszym mieście rozpoczął się wspaniały Festival polskiej muzyki — kolej przyszła i na Harnasiów. Pierwszy ich obraz był bowiem już całkowicie wykończony i kompozytor powierzył jego symfoniczne wykonanie Grzegorzowi Fitelbergowi. Jakoż tedy w ostatnim z długiego szeregu koncertów orkiestry Warszawskiej Filharmonii, która w Poznaniu odegrała cały cykl w Auli Uniwersyteckiej — posłyszeliśmy trzy dzieła Karola Szymanowskiego. Jednym z nich był rzeczony obraz „Harnasiów". Działo się to w dniu 29 maja 1929 roku.

Gdy kompozytor skończył wreszcie całość swego baletu — i na poznańskie wykonanie przyszła wkrótce kolej. Oczywiście mowa tu jedynie o „estradowym" odegraniu dzieła, więc bez sławnego chóru, bez solisty i bez tańca. W październiku 1931 roku odbył się na scenie Teatru Wielkiego uroczysty koncert symfoniczny pod batutą tegoż Grzegorza Fitelberga. Grano „Epizod na maskaradzie" Mieczysława Karłowicza, Koncert fortepianowy f-moll Fryderyka Chopina w wykonaniu Zbigniewa Drzewieckiego oraz drugi obraz „Harnasiów". Karol Szymanowski był obecny na koncercie; entuzjastycznie go oklaskiwano! I Szymanowski i Fitelberg ofiarowali autorowi tych relacji partyturę orkiestrową „Epizodu" z dedykacją na pamiątkę wystawienia muzyki „harnasiowej". Podarunek przetrwał wojnę i nadal jest w pierwotnym posiadaniu. W tym samym czasie Karol Szymanowski wpisał do notesu Romana Padlewskiego, który w koncercie brał bezpośredni udział jako drugi skrzypek — melodyjkę wstępnego chóru z drugiego obrazu.

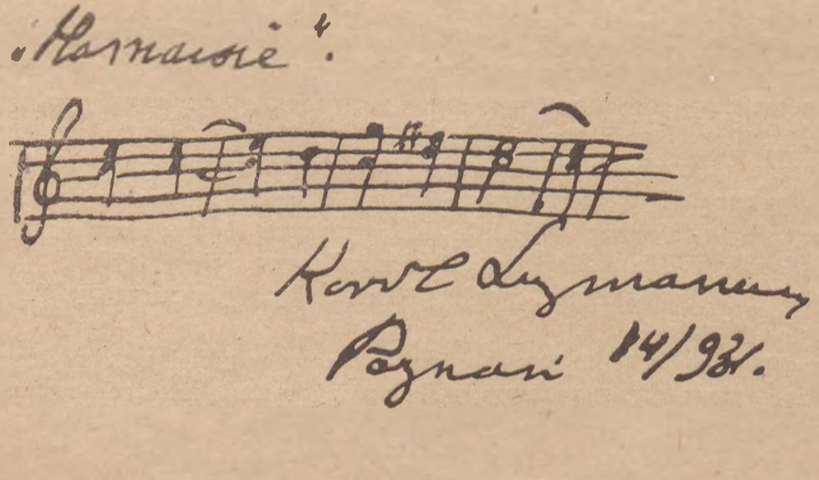

Dyskutowano zawzięcie i długo ów wieczór jeszcze pamiętano. Jasną jest rzeczą, że nieprzyzwyczajona do współczesnego języka muzycznego publiczność nie natychmiast mogła się w owej skomplikowanej harmonicznie i rytmicznie muzyce zorientować. Wielu było takich, którzy wzruszali ramionami i gestem rozłożonych rąk dawali do poznania, że nie

Pierwszy obraz „Harnasiów" w inscenizacji Zygmunta Szpingiera (1938)

rozumieją nic a nic. Wszelako muzyka do drugiego obrazu jest o wiele bardziej już prostsza od obrazu pierwszego. Jest tu więcej „folkloru" a nawet niemal dosłownych cytatów prawdziwej podhalańszczyzny muzycznej. Czy to wzruszające prostotą opracowania sceny weselne z oczepinowym — jakże innym od nizinnych — „chmielem", czy też porywające namiętnością wspaniałe chóry, czy też niemal dosłowny w sposobie opracowania i instrumentacji żywiołowy taniec tych cyklicznie wiążących się „Krzesanych", „Drobnych", czy „Ozwodnych nut" ... a gdy już posłyszano końcową piosenkę „Powidz ze mi powidz" ...., entuzjazm słuchaczy był już całkowicie usprawiedliwiony. Nawet i konserwatyści dali się ponieść rwącemu potokowi tej

namiętnej i burzliwej muzyki Szymanowskiego. Długo później wrażenia tkwiły jeszcze w naszych uszach.

Tymczasem przygotowania do scenicznego wystawienia „Harnasiów" trwały w warszawskiej operze. Trudno dziś stwierdzić do jakiego stopnia były one posunięte; trudno też roztrząsać przyczyny, dla których odkładano z sezonu na sezon realizację czołowego w tym gatunku w polskiej muzyce dzieła. Dość, że prapremierę ujrzał kompozytor nie w kraju ojczystym a u sąsiadów-Słowian, w zawsze czujnej na artystyczne drgnienia Pradze czeskiej. Działo się to w 1935 roku. Realizacja była — zdaniem widzów i słuchaczy — bardzo prosta i przekonywująca. Zaczął się tedy sceniczny „pochód" polskiego baletu Karola Szymanowskiego po cudzych stronach, zdala od Polski... W Paryżu u Eschiga wydrukowano głosy orkiestralne, wydano fototypią ogromną księgę partytury dla dyrygenta a Grażyna Bacewiczówna przygotowała mozolną pracą wyciąg fortepianowy w układzie na dwa instrumenty, też wydrukowany.

W rok później „Harnasiów" ujrzał i usłyszał Paryż. Nie Zofia Stryjeńska, jak to było pierwotnie w zamiarach a Irena Lorentowicz przygotowała szkice kostiumowe. Tańczył Sergiusz Lifar.. przebywał nawet jakiś czas w Zakopanem, celem przeprowadzenia studiów tańca i „zachowania się" górali. Znowu w rok później, w 1937 roku wystawiono Harnasiów w Hamburgu.

W Poznaniu nie zapowiadano polskiej prapremiery hucznie i reklamiarsko. Dyrektorem w owym czasie był — jak i dzisiaj — dr Zygmunt Latoszewski. Miał do pomocy w realizacjach scenicznych dekoratora Zygmunta Szpingiera a balet prowadził mu Maksymilian Statkiewicz. I postanowiono ostatecznie dzieło Szymanowskiego doprowadzić do skutku. Miło mi na tym miejscu wspomnieć, że wszyscy trzej umówili się ze mną na wspólną konferencję, na której mieliśmy we czwórkę omówić najrozmaitsze „akcesoria" poznańskiej wystawy Harnasiów. Nie na tej jednej konferencji się oczywiście skończyło. Szpingier wziął kilka moich fotografii tatrzańskich na „wszelki przypadek" i wielki tom Matlakowskiego, by stamtąd przyjrzeć się wnętrzu chaty góralskiej. Postanowiliśmy, że będziemy wiernie kopiować autentyk tak w strojach, jak i we wszelakich „realiach". Ponieważ pierwszy obraz dzieje się na pasterskiej hali i w zasadzie przedstawia tak zwany po góralsku „redyk" (— wejście owiec na halę —) rozważaliśmy nawet możliwości wprowadzenia... żywych owiec, które nam miano wypożyczyć z uniwersyteckiego majątku w Gołęcinie. Ale jakoś do tego nie doszło. Maksymilian Statkiewicz obmyślił baletowi akcję po długich ze mną na ten temat dyskusjach. Zaczęły się próby w sali baletowej. Przy fortepianie zasiadła specjalnie do tego celu doangażowana pianistka Zofia Szrejbrowska we wiolinie a brat mój, Bronisław, który w owym czasie zaczynał w operze praktykę dyrygencką — objął „partię basów". Grali z wyciągu Bacewiczówny. A tymczasem na wysokiej „hali" teatru na malarni, dosłownie ponad dachami Poznania, kroczył nad leżącymi płótniskami dekoracji Zygmunt Szpingier i coraz to jakiś szczegół poprawiał. Pierwszy obraz miał się dziać na Hali w Małej Łące, pod skalistymi zerwami Giewontu, od strony, z której trudno już się dopatrzeć podobieństwa do „śpiącego rycerza". Drugi obraz — to góralska chata. Musiał być i sosręb, musiały być ściany z szerokich płazów, musiały być i rzeźbione

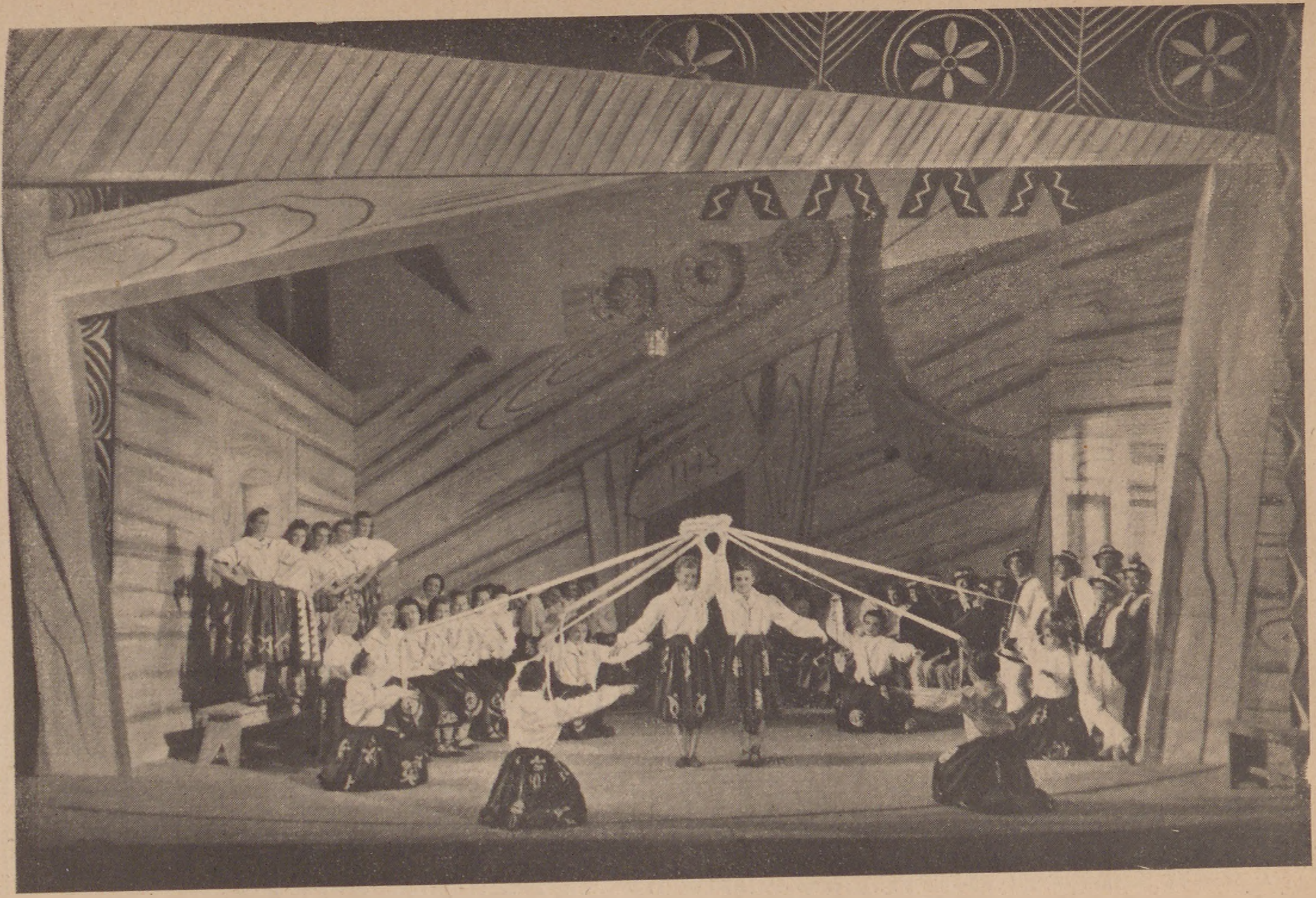

Drugi obraz „Harnasiów" w inscenizacji Stefana Janasika (1947)

odrzwia...; a Latoszewski tkwił wieczorami i nocami nad ogromną partytura „Harnasiów" — uczył się jej najdokładniej i nauczył... bo oto nadszedł wieczór 9 kwietnia 1938 roku.

Premiera poznańska rozsławiła po Polsce rzetelny wysiłek wszystkich twórców oraz odtwórców dzieła. Zjechali się najbardziej znani muzycy z całego kraju. Były i siostry Karola Szymanowskiego — Jego samego przecież już nie stało. Spoczywał w krypcie Skałki w Krakowie. Zawiadomiłem w dniu premiery dwóch ludzi o jej odbyciu się w Poznaniu. Najbardziej z Szymanowskim związanych: Adolfa Chybińskiego we Lwowie i Juliusza Zborowskiego w Zakopanem. Dostali pocztą fotograficzne reprodukcje znakomitych dekoracji Szpingiera.

I „Harnasie" w Poznaniu szli szereg razy przy stale wypełnionej widowni. Wznowiono ich podczas Festivalu Muzycznego jesienią 1938 roku. Nad Europą tymczasem zbierała się burza... w rok po Festivalu „kończyliśmy" wrześniową kampanię.

* * *

Minęło i przewaliło się nad nami i w nas samych. Teatr Wielki znowu stanął lekko tylko tknięty taranem wojennym do pracy nad polską kulturą. Zjechał do dyrekcji oczekiwany i jedyny na tym stanowisku w Polsce Zygmunt Latoszewski. Trudne to były dnie. Po improwizowanym początku operowej pracy nadeszły chwile realizacji zamierzeń, nie efemerydowych a trwałych. Radowaliśmy się „Krakowiakami i góralami" Kurpińskiego ale widzieliśmy, że przyjdzie czas i na „Harnasiów". I wreszcie nadszedł, gdyż Latoszewski przyobiecał ich realizację sobie a takich przyrzeczeń jest się chyba najpewniejszym!

Tym razem miejsce Maksymiliana Statkiewicza zajął Jerzy Kapliński, niegdyś odtwórca tytułowej roli Harnasia. Dekoracyjną stronę widowiska odstąpił Szpingier młodemu malarzowi i historykowi sztuki Stefanowi Janasikowi. Przy muzycznym kierownictwie nadal Latoszewski pozostał. Orkiestra rzecz już znała. Jasną jest kwestią, iż tylko trzon instrumentalistów grał „Harnasiów" przed wojną lecz dzisiaj młodzież uzupełniła miejsca przy pulpitach i musiała się odpowiednio do pracy przyłożyć.

Datę premiery wyznaczono na dzień 18 stycznia 1947 roku. I odbyła się w przewidzianym czasie. Janasik zaprojektował kostiumy i dekoracje, przyczym postanowił oprzeć pomysły na stylu drzeworytu. Kolorami miały być wyłącznie: biały i czarny. Zamierzenie nader śmiałe i nad wyraz eksperymentatorskie. Publiczność nie mogła przyzwyczaić się odrazu do takiego zubożenia spodziewanej orgii kolorów. Próba Janasika ma wszakże wielką zaletę. Oto młody artysta nie poszedł na łatwy konwenans i płyciznę plastyczną. Spowodował swymi dekoracjami i kostiumami gorącą dyskusję w kołach artystycznych i amatorskich. A to już bardzo wiele. Baletowa inscenizacja „Harnasiów" obmyślona została przez Jerzego Kaplińskiego. W szeregu szczegółów odbiegła znacznie od stereotypu, w jakim się dotąd balet ten wystawiało. Muzyczna strona widowiska dzięki Latoszewskiemu utrzymała się na wysokim poziomie. Może tylko partie chóralno-wokalne nie stanęły w jednolitym szeregu wykonawców. W każdym przecież razie wystawienie „Harnasiów" w Poznaniu stało się wyraźnie wysokim czynem kulturalnym i artystycznym.

Dr A. Zarach

JÓZEF MORAWSKI

Najazd niemiecki na Polskę pozbawił naukę polską szeregu wybitnych uczonych, między którymi figuruje jako jedna z pierwszych ofiar postać profesora dr. Józefa Morawskiego, który zginął w Warszawie przy ul. Czackiego w dniu 25 września 1939 r., przywalony gruzami walących się kamienic podczas najsilniejszego i najokrutniejszego bombardowania stolicy przez wojska niemieckie. Strata ta dotknęła szczególnie boleśnie Uniwersytet Poznański i społeczeństwo wielkopolskie. Jakkolwiek z urodzenia nie Wielkopolanin — urodził się bowiem w Wrocławiu — ukochał ziemię wielkopolską całą potęgą żywego i szczerego uczucia, wżył się i wrósł w społeczeństwo poznańskie mocą swej dwudziestoletniej pracy naukowej i kulturalno społecznej, dbając o rozwój nauki na swym odcinku pracy nie tylko dla dobra całego państwa, lecz przede wszystkim dla dodania blasku ukochanemu Poznaniowi.

Poświęcając niniejsze wspomnienie pośmiertne profesorowi Morawskiemu, pragnę oddać najgłębszy swój hołd świetlanej jego postaci, swemu mistrzowi i przyjacielowi, z którym mi dane było spędzić ostatnie jego dni. Jeszcze dziś odżywa mi w pamięci wyniosła jego postać z nieodstępną walizeczką, w której jako największe swe bogactwo przechowywał w mrówczej pracy zdobyte rękopisy i notatki ze swej ostatniej podróży naukowej do Francji. Wakacje bowiem w roku 1939 spędził profesor Morawski we Francji na pracowitych i mozolnych dociekaniach naukowych celem przysporzenia nauce polskiej nowego cennego dzieła z dziedziny zagadnień kulturoznawczo-porównawczych.

Dnia 30 sierpnia 1939 r. opuściliśmy wspólnie Paryż, by drogą przez Włochy, Jugosławię i Rumunię wrócić do ojczyzny w chwili grożącego jej niebezpieczeństwa. Granicę polską przekroczyliśmy pod Śniatyniem w dniu 3 września, skąd pod ustawicznym bombardowaniem dotarliśmy po pięciodniowej gehennie podróży do Warszawy w chwili, gdy wojska niemieckie rozpoczęły pierwszy swój nieudany atak na stolicę. Różni dygnitarze ratowali się wówczas ucieczką do Rumunii, skąd właśnie przybywaliśmy; natomiast prof. Morawski użył wszystkich sposobów i wysiłków, aby jak najprędzej dotrzeć do zagrożonej Warszawy i ofiarować swą współpracę w jej obronie. Mimo zwiększającej się z minuty na minutę grozy wojny, mimo konieczności ciągłej zmiany miejsca zamieszkania z powodu pożarów i bombardowań, był pełen pragnienia przetrwania i pełen głębokiej wiary w ostateczny pogrom hydry niemieckiej. Niestety — nie dożył chwili wielkiego zwycięstwa i dzieła odbudowy nauki polskiej, nie dożył również ponad wszystko upragnionej chwili powrotu swego rodzinnego miasta Wrocławia do Macierzy Polskiej po wielowiekowej niewoli prusackiej.

Józef Morawski urodził się bowiem w Wrocławiu, dnia 29 grudnia 1888 roku. Tam spędził lata dziecinne i szkolne, tam ukończył gimnazjum im. św. Macieja w roku 1909. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości zapisał się na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Dalsze studia odbywał w Lowanium (Belgia), gdzie w roku 1911 zdał licencjat z filologii romańskiej.

Studia swe kontynuował w Paryżu: w słynnym Collège de France, w Sorbonnie, w Ecole des Chartes i w Ecole des Hautes-Etudes. Wielki znawca literatury wieków średnich Józef Bédier wtajemniczył go w arkana badań naukowych, a najwybitniejsi romaniści francuscy jak Alfred Jeanroy, Antoni Thomas, Mario Roques kierowali pracami jego. W czerwcu 1915 roku uzyskał doktorat Uniwersytetu Paryskiego na podstawie obszernej rozprawy: Pamphile et Galatée par Jehan-de-Fer de Dammartin-en-Goële (str. XII+466), ogłoszonej drukiem w Paryżu.

Podczas pierwszej wojny światowej pracował w biurze Opieki nad Robotnikiem Polskim we Francji. Po wskrzeszeniu Państwa Polskiego wrócił do kraju i habilitował się w Krakowie dnia 30 kwietnia 1920 roku. Uzyskawszy dnia 19 stycznia 1921 r. przeniesienie veniae legendi z Uniwersytetu Jagiellońskiego do Uniwersytetu Poznańskiego, wygłaszał jeszcze w trzecim trymestrze roku akademickiego 1920/21 wykłady z zakresu romanistyki w charakterze docenta. Dnia 30 sierpnia 1921 roku został mianowany zastępcą profesora przy katedrze filozofii romańskiej U. P., dnia 9 lipca 1923 roku profesorem nadzwyczajnym, a w roku 1929 profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Poznańskiego, które to stanowisko zajmował do chwili swej śmierci.

Jako profesor filologii romańskiej rozpoczął szeroką działalność naukową i pedagogiczną, organizując Seminarium Filologii Romańskiej na nowych podstawach. Skromną w początkach istnienia bibliotekę Zakładu wzbogacał stale i z wielkim zapałem, tak że w roku 1939 biblioteka ta liczyła przeszło 11 tysięcy tomów oraz wielką ilość czasopism naukowych. Seminarium posiadało nie tylko dzieła francuskie, lecz także włoskie, hiszpańskie, portugalskie i rumuńskie; należy zaznaczyć, że biblioteka włoska i hiszpanska Zakładu były najbogatsze w Polsce. Na szeroką skalę rozbudował studia francuskie w ramach studiów ogólnoromańskich i wykształcił liczne szeregi dobrych nauczycieli języka francuskiego, którzy na terenie Wielkopolski zapoznali swych wychowanków z zaletami cywilizacji zachodnio-europejskiej, dzięki czemu młodzież wielkopolska zyskała szeroką perspektywę na świat, ucząc się zasad demokratycznych, tolerancji oraz ogólnoludzkiej solidarności, wyrabiając w sobie uczucia humanitarne. Jako długoletni prezes Koła Neofilologów Okręgu Wielkopolskiego miał poważny wpływ na prace tegoż Koła, nadając mu kierunek oparty na zrozumieniu potrzeb młodzieży wielkopolskiej.

Gdy Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk — rozpoczęło na nowo swą działalność, profesor Morawski został czynnym członkiem Towarzystwa i odegrał wybitną rolę w jego wewnętrznym życiu naukowym, zwłaszcza w Komisji Filologicznej, której sekretarzem był bez przerwy od 1925 r. Ogromne są jego zasługi na niwie współpracy polsko-francuskiej, w uznaniu których rząd francuski udekorował go orderem Oficera Legii Honorowej. Był współzałożycielem Stowarzyszenia Polsko-Francuskiego i należał do zarządu od chwili założenia Stowarzyszenia. Był również członkiem zagranicznych towarzystw naukowych, jak: Société des Anciens Texes Français, Société de Linguistique Romane i Société d'Histoire littéraire de la France, oraz brał żywy udział w zjazdach naukowych zagranicznych i krajowych.

W uznaniu jego zasług naukowych Polska Akademia Umiejętności w Krakowie powołała go na członka-korespondenta z dniem 16. VI. 1933 r.

W życiu wewnętrzno-uniwersyteckim pełnił funkcje dziekana Wydziału Humanistycznego U. P. w roku akad. 1937/38.

W krótkim wspomnieniu nie sposób wymienić jego prace naukowe i popularno-naukowe, ogłoszone drukiem, których wykaz bibliograficzny obejmuje 117 pozycyj. Z poważniejszych prac po za tezą doktorską należy wymienić: Le Façet en Françoys, Poznań, Poz. Tow. Przyj. Nauk, 1923; Des Diz et proverbes des sages Paris 1924; Kastor i Polluks, Studium z zakresu frazeologii porównawczej z szczególnym uwzględnieniem romańskiej. Kraków, Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności, 1937; La légende de Saint Antoine ermite, Poznań. Tow. Przyj. Nauk, 1939. Szereg interesujących artykułów ogłaszał nie tylko w czasopismach krajowych, lecz także i zagranicznych: francuskich, włoskich, hiszpańskich i niemieckich. Reprezentował godnie naukę polską, której dodał niepowszedniego blasku i sławy.

Cechowało go wszechstronne wykształcenie, szerokie zainteresowanie intelektualne, literackie, kulturalne i społeczne oraz nieustanne ciągle trwające kształcenie się. Wiedza historyka literatury, umiejętność filologa i estetyczne odczucie krytyka dopełniały się w nim harmonijnie. Zasiąg jego znajomości literatur romańskich był wielki. Był najwybitniejszym polskim specjalistą literatur iberyjskich i jemu to powierzyło wydawnictwo Trzaska, Evert i Michalski opracowanie literatur iberyjskich do Wielkiej Literatury Powszechnej (cf. Tom II). Był wielkim miłośnikiem i znawcą piękna wieków średnich, interesując się nie mniej żywą współczesnością kultur narodów romańskich. Nie uchylił się też od obowiązku ciążącym na każdym polskim badaczu obcej kultury, w określaniu wpływów zagranicy na twórczość rodzimą i wykazaniu odrębności elementów polskich. Specjalne studium poświęcił zagadnieniu wyrazów romańskich w języku polskim, a w swych badaniach nad frazeologią porównawczą przedstawił nam w nowym oświetleniu frazeologię jako pewnego rodzaju „socjologię słów".

Wykłady jego były ścisłe, zbyt ścisłe i dlatego uchodziły czasami za suche. Nie porywał, ale pobudzał do myślenia, rozszerzał horyzonty. Nigdy się nie unosił ,nigdy nie wpadał w patetykę, ale za każdym jego słowem wyczuwać można było gorące i kochające serce, jego żywą troskę o sprawę nauki i dobro młodzieży.

Śmierć zabrała go w pełni sił tworzenia, przerwała tragicznie rozpoczęte prace i szeroko zakreślone plany. Odszedł z szeregu uczonych wielki fanatyk pracy i szczery przyjaciel młodzieży. Zginął świetny fachowiec i długoletni wychowawca wielkopolskich romanistów. W pamięci wychowanków pozostawił wspomnienie serdecznego stosunku do profesora, gotowego zawsze do udzielania rady i pomocy. Cechujący go hart ducha i wiara w niezniszczalne siły narodu nie opuściły go nawet w obliczu płonącej i walącej się w gruzy Warszawy, a optymistyczne jego słowa, wypowiedziane do mnie w przeddzień swej śmierci utkwiły mi na zawsze w pamięci, że: „pracą bez granic i wysiłkiem niezmierzonym odbudujemy nową Polskę wielką i szczęśliwą, i wzniesiemy Dzieło-Słońce, jaśniejsze niż słońca".

Tadeusz Leszner

STANISŁAW ZGAIŃSKI

Sześć bez mała lat trwający na ziemiach polskich teror hitlerowski był jednym wielkim pochodem śmierci. Los niezliczonych zastępów ofiar ucisku nazistowskiego podzielił również Stanisław Zgaiński,. młody grafik wielkopolski. Uwięziony pod zarzutem działalności patriotycznej we Wronkach latem 1944 r. i osadzony następnie w obozie koncentracyjnym w Gross Rosen pod Wrocławiem zmarł śmiercią męczeńską 14 października tegoż roku.

Stanisław Zgaiński

Stanisław Zgaiński urodził się 28 kwietnia 1907 r. w miejscowości Kruszewo powiatu czarnkowskiego, województwa poznańskiego. Po ukończeniu szkoły powszechnej uczęszczał do seminarium nauczycielskiego w Lesznie, a po uzyskaniu dyplomu z ukończenia tej uczelni poświęcił się karierze pedagogicznej. Obdarzony umysłem żywym, wrażliwym na piękno, młody nauczyciel nie mógł się zamknąć wyłącznie w działalności zawodowej. Już na ławie szkolnej jeszcze jako chłopiec wybitny zdradzał pociąg do rysunku. Mimo mało sprzyjające warunki, jakie znalazł w domowym otoczeniu, skazany w szarej codziennej walce o byt na wieczne borykanie się z trudnościami materialnymi — młody Zgaiński myślą ulatywał ku dalekim, zda się nieziemskim światom wzruszeń estetycznych. Jego zainteresowania umysłowe i duchowe aspiracje przerastały ciasne ramy środowiska, w które go życie wtłoczyło. Uwagę przyszłego grafika od lat młodzieńczych przykuwały sztuki plastyczne, literatura nadobna i muzyka. Wcześnie zadzierzgnął więzy nierozerwalne z książką, co źródłem wiedzy będąc jest mistrzynią życia, z książką — krynicą najszlachetniejszych uczuć i wzruszeń podniosłych, książką — posłanką Piękna. Pochłaniał zwłaszcza dzieła malarstwu i muzyce poświęcone. Duszę swą ko-

łysał wizjami wielkich czynów mistrzów palety i tonów. Namiętnie wczytywał się w nieśmiertelne twory poezji narodowej. Od zarania lat szkolnych marzył o sztuce i pracy artystycznej.

Początki twórczości Zgaińskiego przypadają na rok 1928. W roku tym daje się poznać jako autor cyklu rysunków, w których odtwarza zabytki architektoniczne rodzimej Wielkopolski i piękno jej krajobrazu. W dalszej serii rysunków za temat obiera sceny rodzajowe. Wykonuje również szereg udatnych karykatur. Nie tylko architektura, krajobraz i sceny rodzajowe stanowiły temat jego ówczesnych tworów rysunkowych. Niepoślednie miejsce wśród nich zajmują również kompozycje dewocyjne, zwłaszcza wizerunki świętych. Jednostka wierząca, tkwiąca korzeniami swego jestestwa w głębokich złożyskach plemiennej uczuciowości religijnej, młody nauczyciel od pierwocin swej twórczości tkwił w zasięgu tematyki religijnej, tak bezpośrednio i nierozerwalnie związanej z całą dziedziną ukochanego przezeń namiętnie folkloru. Trawiony gorączką poznania tajników twórczości wolne od zajęć chwile poświęca studiom nad dziejami sztuki, lecz przede wszystkim skrzętnym badaniom ludoznawczym. Materiał do tych ostatnich zdobywa w licznych rok rocznie odbywanych wycieczkach krajoznawczych. Przemierza wzdłuż i wszerz najbliższe mu rejony Wielkopolski i Pomorza, zawsze niezachwiany w swym ukochaniu prymitywu artystycznego dzieł wioskowych i małomiasteczkowych z szarej masy się wywodzących i w niej bez reszty się zatracających bezimiennych twórców ludowych. Stanie mu się ta sztuka ludowa drogowskazem i podnietą, karmią duchową i swoiście ujętym ideałem. Z pod jej przemożnych sugestii nie wyrwie się nigdy.

Impulsywnej naturze Zgaińskiego nie mogło jednak wystarczyć uprawianie jedynie grafiki rysunkowej. Nie długo pozostawał jej tylko wyłącznie wierny. Wkrótce przechodzi do technik szlachetnych, najpierw do litografii, następnie do drzeworytu. Zajęcie się litografią stanowiło raczej swego rodzaju próbę sił i było wyrazem żywiołowej chęci zdobycia szerszego pola dla ekspansji rodzących się w duszy twórczych zrywów. Litografie Zgaińskiego, sięgające zresztą bardzo skromnej cyfry bodajże pięciu tylko sztuk, z najlepszą spośród nich „Cudownym obrazem Matki Boskiej Szamotulskiej" nieznaczną grają w twórczości artysty rolę i traktowane być winny tak, jak je sam on traktował, t. zn. jako krótkotrwały etap w kroczeniu naprzód. Natomiast właściwym przedmiotem jego aspiracji artystycznych staje się na przełomie lat 1929/1930, a wkrótce po tym stanie się prawie niepodzielnie, drzeworyt. Na obranie przez Zgaińskiego takiego właśnie kierunku dla swych wypowiedzi twórczych nie pozostał bez wpływu fakt wspaniałego ówczesnego rozwoju polskiego drzeworytnictwa artystycznego. Był to bowiem okres, gdy pionierska, brzemienna w doniosłe skutki, działalność wielkiego odrodziciela ksylografii w Polsce — niezapomnianego Władysława Skoczylasa, święcić poczynała w pracach znakomitej plejady jego uczniów prawdziwy triumf w kraju i zagranicą. Uznanie i rozgłos innych pobudzająco działały na młodego Zgaińskiego: ekscytowały go twórczo i niewoliły do czynu. Jego żywiołowa natura zyskiwała dla swych artystycznych aspiracji prawdziwą odskocznię zarówno w sukcesach skoczylasowskiej szkoły jak i w samym charakterze twórczości mistrza. Ludowość

jego rytowniczych kreacji oraz szerokie uwzględnienie techniki dłutkowania (na klockach wzdłużnych — langowych) nie mogły nie przypaść do smaku młodemu adeptowi kunsztu drzeworytniczego. Zgaińskiego nie stać było na rozległe studia i zdobywanie wiedzy fachowej pod bezpośrednim kierownictwem wytrawnych nauczycieli. Autodydakta w rzemiośle artystycznym wogóle (trudno przywiązywać większą wagę do krótkotrwałej nauki rysunków u prof. Hanytkiewicza w Poznaniu), skazany w nowej dla siebie technice drzeworytniczej na swoje wyłącznie uzdolnienia, Zgaiński mozolnie kroczył naprzód własnymi wysiłkami na drodze ku zdobyciu biegłości fachowej w obranym rodzaju sztuki — w ksylografii. Jest więc rzeczą zrozumiałą, że drzeworyt wzdłużny dawał mu większe, niż sztorcowy szanse osiągnięcia pomyślnych wyników. Działały poza tym, jak wyżej powiedzieliśmy, składniki treści, czynniki tematyczne, literackie. Zgaiński dużo wchłonął ze sztuki Skoczylasa i pozostawał wyraźnie pod jego wpływem. Był w swej sztuce jak i Skoczylas, oczywista toute proportion gardé, piewcą ludowości i heroldem piękna polskiego prymitywu.

Wkroczywszy na drogę drzeworytu Zgaiński nie opuścił jej do końca swej artystycznej działalności. Z dłutkiem, a następnie i rylcem zbratał się nierozerwalnie, omal ekskluzywnie. Poczyni później próby opanowania techniki kwasorytu (akwaforty), lecz będą to tylko próby. Z areny życiowej jako artysta zejdzie pod znakiem drzeworytu, ksylografia bowiem stała się najbardziej właściwą formą dla jego twórczych wypowiedzi i na ksylografii ugruntowane jest jego stanowisko w sztuce.

Pierwszym większym dziełem Zgaińskiego drzeworytnika była „Teka Szamotulska" (r. 1931), obejmująca „Kolegiatę w Szamotułach", „Obrzycko", „Szamotulankę", „Słopanowo" i „Dzwonnicę w Kazimierzu". Odtworzył w tych drzeworytach (langowych) charakterystyczne zabytki architektoniczne regionu, z którym go los związał na dobre i złe chwile. „Szamotulanka" stanowiąca podobiznę siostry artysty — Barbary, świadczyła wymownie o jego żywym pociągu do folkloru. Jeśli pierwszy większy wyczyn artystyczny Zgaińskiego obfituje w poważne niedociągnięcia techniczne (zrozumiałe u początkującego artysty, szczególnie u artysty samouka), to następny cykl „Z Polskiego Brzegu" (r. 1931/32) jest już znacznym krokiem naprzód ku znalezieniu właściwego dla siebie wyrazu, a nade wszystko ku zdobyciu arkanów sztuki drzeworytniczej. Podziwiać w tych tworach należy śmiałość, z jaką artysta kształtuje swe wizje, podziwiać wypada żywiołowość, z jaką plastycznie ucieleśnia swe koncepcje. Ta żywiołowość rytu oraz dosadność wyrazowości prostej, lapidarnej, obcej, że tak powiemy, wszelkiej wielomówności skomplikowanego zespołu efektów, stanowi w tych pierwszych drzeworytach Zgaińskiego i stanowić już będzie stale charakterystyczne znamiona jego artystycznego oblicza.

W ślad za cyklem morskim powstają dalsze prace. Swej działalności artystycznej Zgaiński nie przerwie aż do uwięzienia i wywiezienia do obozu. W pracy jego będą jedynie okresy większego lub mniejszego natężenia z małymi stosunkowo przerwami w aktywności artystycznej, spowodowanymi działaniem sił wyższych. Jego postawa bowiem jako artysty będzie stale czynna mimo zmienne koleje życia, wywołane wojną (bierze w niej bojowy udział w składzie

„Janosik" St. Zgaińskiego

Rytowany za namową Jerzego Młodziejowskiego w zimie 1938 roku według afisza ze słowackiego filmu „Janosik", przedstawiającego aktora Bala Bialika w tej roli. Do dziś zachowały się jedynie 3 oryginalne odbitki. Reprodukcja zmniejszona.

57 p. p.), niewolą i ciężkimi po powrocie z niej warunkami bytowania pod okupacją (zmuszony był pracować jako rysownik w niemieckim zakładzie przemysłowym we Wronkach). Jako główne podniety działające na wyobraźnię Zgaińskiego występują głębokie uczucia religijne i szczere ukochanie ziemi ojczystej. Na podłożu pierwszego powstają takie drzeworyty jak „Święta Rodzina", „Głowa Chrystusa Ukrzyżowanego" (zdobiącego przedsionek kolegiaty w Szamotułach), „Święty Hubert", „Matka Boska", „Boże Narodzenie", „Trzej Królowie". Na wyróżnienie zasługuje „Głowa Chrystusa", znana szerszemu ogółowi z reprodukcji w jednym z zeszytów przedwojennej poznańskiej „Tęczy". Uczucie drugie pobudziło artystę do utrwalenia w ujęciu drzeworytniczym bądź ciekawych zabytków architektonicznych („Klasztor w Szamotułach", „Zamek w Rydzynie", „Kościółek w Swarzędzu"), bądź osobliwości stroju i charakterystycznych przejawów zamierającej kultury obyczajowej ludu („Szamotulacy", „Szamotulak", „Janosik"), bądź scen rodzajowych („Rybak", „Kopaczki"), bądź wreszcie motywów wybitnie krajoznawczych („Z Kruszwicy", „Sosna", „Chałupka", „Sosenka"). Niektóre z tych drzeworytów Zgaiński nie bez wpływu ludowych malowanek na szkle wykonał w kilku barwach (Szamotulaka w 4-ch, Szamotulaków w 3-ch, „Świętą Rodzinę, Matkę Boską i św. Huberta w 2-ch). Szczególnie dobre wyniki osiągnął Zgaiński w dwóch drzeworytach: „Głowa Chrystusa Ukrzyżowanego" i „Szamotulak". Zajmują one niewątpliwie czołowe pozycje w jego dorobku graficznym.

Zgaiński kochał muzykę. Do motywów muzycznych w swej twórczości sięgał chętnie. Wyrazem tych umiłowań miał być cykl większych rozmiarów ksylografii, ilustrujących utwory Chopina. Tragiczne uwięzienie i śmierć przedwczesna położyła kres tym zamysłom. Z wielkiego zamierzenia zrealizowana została jedna tylko rycina oparta na motywach jednego z nokturnów nieśmiertelnego mistrza muzyki polskiej.

Zgaiński kochał książkę. Skazany na bytowanie na prowincjonalnym partykularzu cenił ją specjalnie, rozumiał bowiem, uświadamiając sobie doskonale potężną jej rolę w rozwoju człowieka w ogóle, jak ogromne jest jej znaczenie w życiu ludzi przebywających z dala od wielkich ośrodków kulturalnych. Nic więc dziwnego, że jako artysta wcześnie włączył do kręgu swych zainteresowań twórczych grafikę książkową. Swą na tym polu działalność rozpoczął od okładek (ciętych w drzewie). Ich poczet, bardzo zresztą ilościowo ograniczony, rozpoczynają nalepki tytułowe na wyżej wspomniane teki: „Szamotuły" i „Z Polskiego Brzegu". W roku 1933 wykonuje artysta okładkę do wydawnictwa: Cześć Polskiej Ziemi 104 pieśni w układzie na 2 głosy zebrał R. Heising — Poznań 1933 r. oraz do ksążki Józefa Birkenmajera: Ostatnia choinka a tuż po tym dwa ogłoszenia o wystawach swych drzeworytów w Szamotułach. Rok 1934 przynosi trzy okładki („Co robić ze słomy" St. Stefańskiego, „Księga Pamiątkowa Akademickiego Koła Szamotulan", „Nasza Gazetka'). — W r. 1936 powstaje okładka do „Piosenek Szamotulskich" Wincentego Kani, w r. 1937 do „XXV-lecia Zbiorów Ludoznawczych im. Heleny i Wiesławy Cichowicz w Poznaniu". Aktywny udział w szamotulskim piśmie literackim „Na ugorach", zaznacza Zgaiński (poza artykułem o drzeworycie w ujęciu historycznym) ksylograficzną winietą tytułową.

W r. 1938 wykonuje tytuł (w drzewie) na okładzinkę teki swych ex-librisów, w r. 1939 wycina okładkę do drugiego zbioru swych ex-librisów. Jeśli jednak twórczość Zgaińskiego w zakresie okładek nie przybrała większych rozmiarów, to zgoła ciekawszy i okazalszy okazał się plon działalności artysty na polu znaku książkowego. Właściwa twórczość Zgaińskiego w dziedzinie ex-librisu rozwinęła się w r. 1936 i najintensywniejsze przybrała rozmiary na przestrzeni trzech lat poprzedzających wybuch wojny. Okupacja siłą rzeczy osłabiła tempo pracy artysty, co na odcinku ex-librisu uzmysławia najdobitniej zestawienie cyfrowe jego dorobku w obu tych okresach: w pierwszym w przeciągu trzech lat powstało zgórą 60 znaków, w drugim obejmującym pięć lat artysta wykonał tylko 11 ex-librisów (w tym dwa akwafortowe stanowiące pierwociny jego twórczości w tej technice graficznej).

Debiutem Zgaińskiego na polu ex-librisu był znak dla Ludwiki Gorzelniakówny (późniejszej żony), wykonany w r. 1934, poczym nastąpiła przerwa, dzieląca to pierwsze dziełko od właściwej twórczości artysty w tym zakresie dwa lata. Pokaźna spuścizna Zgaińskiego z dziedziny znaku książkowego stanowi ciekawą pozycję w polskiej ex-libristyce. Zgaiński jako twórca ex-librisów stworzył swój własny styl. W przeciwieństwie do grafiki wolnej, znaki książkowe artysta wykonał z małymi wyjątkami w sztorcu. W tych małych rycinkach wykazał Zgaiński dobre zrozumienie istoty ex-librisu, — nie starał się tworzyć rzeczy, pojmowanych wyłącznie jako znaki własnościowe, i oddanych w najprostszym ujęciu graficznym, dwuwymiarowym, czysto właśnie znakowym. Ujawniał daleko posuniętą dbałość o stronę duchową zagadnienia ex-librisu, świadomy konieczności zgłębienia psychiki właściciela biblioteki, dla której ma ex-libris być przeznaczony, i co za tym idzie konieczności uwydatnienia plastycznego aspiracji i tęsknot bibliofila, jego, że tak powiemy, moralnego i społecznego kontrefektu. Nic dziwnego, że ex-librisy Zgaińskiego z nieznacznymi odchyleniami posiadają charakter ilustracyjny, obrazkowy. Inwencję twórczą posiadał artysta bogatą i tworzył łatwo. Stąd wypływała zdolność do sprostania różnorodnej tematyce, jaką zmuszony był uwzględniać, przy wykonywaniu zamówień na ex-librisy. Szwankowało u niego liternictwo, niekiedy zgoła poważnie, i z dotkliwym uszczerbkiem dla całości wrażenia estetycznego, jakie poszczególne ex-librisy wywierały. Podbijał za to świeżością pomysłów, bezpośredniością wyrazu, żywiołowością rytu, lapidarnością artystycznych koncepcji. W niektórych swych ex-librisach osiągał wyniki wysokiej miary. Takimi osiągnięciami były dwa znaki dla Ignacego Paderewskiego, oba wycięte w r. 1938 (ex-libris i ex-musicis).

Prócz okładek i ex-librisów wykonał Zgaiński w dziedzinie grafiki książkowej również szereg zdobników i inicjałów (głównie do wspomnianego wydawnictwa H. i W. Cichowicz). Był również czynny na polu blisko związanej z grafiką książkową grafiki okolicznościowej. Jest autorem dziesięciu powinszowań świątecznych, w tej liczbie pięknego, pełnego tragicznego patosu, powinszowania Wielkanocnego z r. 1944 — („Wielkanoc w ruinach i zgliszczach").

W krótkim stosunkowo okresie swej jawnej działalności artystycznej Zgaiński udostępnił swój dorobek szerszej publiczności udziałem w wystawach. Uczestniczył w I-ej (w r. 1933) i w II-ej (w r. 1936) Międzynarodowej Wy-

stawie Drzeworytów w Warszawie, w IV-ej Międzynarodowej Wystawie Litografii i Drzeworytu w Chicago (listopad 1937 — styczeń 1938) oraz w wystawach Polskiej Grafiki Myśliwskiej w Poznaniu i w Bydgoszczy (w r. 1938).

Zgaiński zmarł w pełni sił. Trudno sądzić jakimi drogami potoczyłby się dalszy rozwój jego talentu i czymby jeszcze wzbogacił naszą sztukę. Brakowało mu głębszej kultury artystycznej. Szedł przecież własnymi siłami: w mozole i trudzie wyrębywał niczym górnik w twardych zwałach rudy swój szlak twórczy w murze kamiennej obojętności najbliższego otoczenia i surowych przeciwieństw życiowych. To pewna, że był talentem samorodnym, wyrosłym z głębokich pokładów plemiennego samopoczucia artystycznego. I tym był ciekawy, mimo wszystkich niedociągnięć, tak nierozłącznie związanych z twórczością wszystkich talentów wybujałych samorzutnie w rozbracie z twardymi regulaminami warunkującymi zdobywanie zawodowej wiedzy. Jeśli podbijał, to nie finezją rytowniczą, nie cyzelatorską maestrią ksylograficzną, nie klasycznie czystą i niezmąconą w swej harmonii architektoniką kompozycyj. Ujmował i zniewalał tężyzną swych wizji plastycznych, prostotą swych wypowiedzi, oddanych środkami niekiedy do brutalności lakonicznymi, świeżością swego prymitywizmu artystycznego. Dziś gdy zagadnienie odnowy kultury polskiej nakłada na nas obowiązek maksymalngo wysiłku, gdy szczególnie dotkliwy jest brak ideowych pracowników w regionach, ubytek z ich szeregu Zgaińskiego jest stratą wyjątkowo bolesną.

NOWE WYDAWNICTWA

G e r a r d L a b u d a: S t u d i a n a d p o c z ą t k a m i p a ń s t w a p o l s k i e g o. Poznań 1946. Księgarnia Akademicka, str. VI i 351.

Pracę powyższą rozpoczął autor jeszcze przed wojną. Pierwsza jej redakcja wraz z materiałami bibliograficznymi uległa we wrześniu r. 1939 zupełnej zagładzie. Dwa ostatnie rozdziały zostały ponownie zniszczone podczas ofensywy styczniowej w r. 1945 wraz z materiałami do dalszych studiów. W książce niniejszej znalazło się razem 6 studiów i 1 ekskurs w formie już zupełnie wykończonej. Dawniej wydane studium p. t. Poznań i Magdeburg (w Rocznikach Historycznych 1938) może służyć jako ich uzupełnienie. Zadaniem autora było wyjaśnienie przebiegu dziejów w tak ważnym okresie pomiędzy chrztem Polski r. 966 i zjazdem w Gnieźnie r. 1000. W uwagach wstępnych dał autor rzut oka na literaturę zagadnienia. Szkic pierwszy p. t. „Widukind i Thietmar o wypadkach z r. 963“ dotyczy wypadków odmiennie oświetlonych przez obu kronikarzy. Stosunek do siebie obu tekstów poddaje autor szczegółowemu rozbiorowi przedstawiwszy poprzednio poglądy wypowiedziane w tej sprawie w literaturze naukowej. Głównym osiągnięciem tego studium jest dokładniejsze ustalenie dat i okoliczności towarzyszących walkom z Weletami słowiańskimi i Wichmanem. Potwierdza też zależność stylistyczną Thietmara od Widukinda i w związku z tym odpiera hipotezę o tradycji ustnej leżącej jakoby u podstawy relacji pierwszego z wymienionych. Interesujące są uwagi o technice pisarskiej Thietmara w dwu jego pierwszych księgach. Tam gdzie przejmował treść z Widukinda nieuzupełniał jej wiadomościami skądinąd czerpanymi lecz te podawał oddzielnie. Z błędnego w tym wypadku streszczenia wydarzeń przez Thietmara wynika brak łączności między wyprawą Wichmana na Mieszka I a margrabiego Gerona na Łużyce. Wywód podważający ścisłą współczesność obu wypraw wydaje się być trafnym, jak również ustalenie zasięgu walk prowadzonych przez Wichmana. W następnym studium p. t. „Przyjęcie chrztu przez Mieszka I w r. 966. Przyczyny i skutki“ stwierdził autor brak śladów penetracji wpływów niemieckich tak ze strony oficjalnego kościoła niemieckiego jak i ze strony cesarstwa. Fundatorem pierwszego biskupstwa w Polsce był sam Mieszko. Był on świadom swych celów politycznych i to go doprowadziło do małżeństwa z czeską Dobrawą. W samej misji korzystano z pomocy ośrodków religijnych w Rzymie i południowych Niemczech. Znaczenie tego szkicu polega również na dyskusji przeprowadzonej z Brakmannem i Sappokiem. W trzecim szkicu czytamy o „Podboju Pomorza Zachodniego i wyprawie margr. Hodona na Polskę w roku 972“. Zagadkowe plemię „Licikavików“ u Widukinda utożsamia tu autor z Lubuszanami, którzy mieszkali w pośrodku między związkiem weleckim i państwem Piastów. Wyprawa Hodona ma się łączyć z akcją Mieszka I na Pomorzu. Przeciw temu wywodowi można zauważyć, że tak w tych jak i następnych nawet latach brak śladów, ażeby wpływ Niemców sięgał poza dolną Odrę, gdy tymczasem rządy Mieszka na Pomorzu zdają się być już w tym czasie ustalone. Obszerne studium czwarte dotyczy „Stosunków prawno-politycznych między Polską a Rzeszą niemiecką do r. 1000“. Obszarem trybutarnym była ziemia lubuska a stosunek sam zawiązany został w okresie 966—972 (pierwsza data prawdopodobna). Trybut miał charakter wykupu zwierzchniczych praw niemieckich do tej ziemi. Z dotychczasowych rozwiązań jest to bodaj najbardziej prawdopodobne. Zawarcie tego układu łączyło się z zawarciem sojuszu. W łączności z całością stosunków prawnych i politycznych wymaga jeszcze bliższej analizy określenie „amicus imperatoris“ u Widukinda. W dalszym rozwoju tych stosunków szczególną uwagę posiadały wypadki z r. 979 (nie udana wyprawa Ottona II przeciw Polsce) i 986 (zawarcie sojuszu przeciw Słowianom za Odrą). Uczestnictwo Mieszka w zjazdach dworskich nie było dowodem istnienia stosunków lennych. Istotą tego

stosunku był wówczas sojusz. Ale do koncepcji trybutu, tym razem ogólnego wraca mimo to autor, uważając go za świadczenie w zamian za pomoc wojskową. W tym wypadku jednak Mieszko był bardziej wspierającym niż wspomaganym. Czy wobec tego „potestas“ z r. 986 różni się bardzo od dawniejszej „przyjaźni“? W samym stosunku politycznym zachodziły niewątpliwie zmiany, a w związku z tym trudno wątpić, że powstawały przerwy w kształtowaniu się prawnego stosunku. Piąty szkic nosi tytuł „Uwagi o początkach organizacji kościoła w Polsce“. W tym wypadku przemawiałbym za opartą o kroniki tradycją o najdawniejszej siedzibie biskupiej w Poznaniu. Wyniki dotyczące innych biskupstw (przed r. 1000) są negatywne i słusznie. Ostatnie studium dotyczy „Zjazdu gnieźnieńskiego i jego znaczenia politycznego“. Wydarzenie to ściągnęło na siebie uwagę rocznikarzy i dziejopisów współczesnych. Powstanie metropolii rozstrzygnięte zostało już w roku poprzednim w Rzymie. Na czoło wysuwają się wobec tego akty prawnopaństwowe zjazdu. Autor zaczął od dokładnej analizy wszystkich relacji źródłowych. Następnie w trafnym wywodzie podważa wznowiony ostatnio przez Jedlickiego pogląd o nadaniu Chrobremu przez Ottona III tytułu patrycjusza. Usuwa też przekonanie jakoby udzielenie godności patrycjusza było równoznaczne z nadaniem prawa adwokacji czyli opieki nad kościołem. Zajmujący wywód poświęca sprawie udzielania koron w tym czasie. Stefan węgierski otrzymał koronę z Rzymu. Pretensje cesarstwa do nadania korony znajdowały przeszkodę w Polsce w istniejącym zobowiązaniu wobec Rzymu w postaci tzw. stosunku „protekcyjnego“. Nie spotykaną jest zasada, ażeby papiestwo i cesarstwo wzajemnie się uzupełniały w sprawach dysponowania koroną. W oczach kronikarza Galla Anonima, jak słusznie wnosi autor, była to istotna koronacja i to z rąk cesarza. Nie łączy się to z rzekomym antygregorianizmem kronikarza, lecz z brakiem zachowania się w dynastii tradycji o późniejszej koronacji z r. 1025. W rezultacie więc była to tylko zgoda cesarska na koronację. Przygotowano właściwą koronację również przez stworzenie warunków swobodnego rozwoju kościoła polskiego z metropolią gnieźnieńską na czele. Trafnym jest dalszy wywód, że w realizacji tytułu królewskiego już w tych latach stanęła na przeszkodzie sytuacja polityczna we Włoszech a zwłaszcza w Niemczech, gdzie pod wpływem nie przychylnej Chrobremu opinii publicznej przygotował się zwrot dla niego niekorzystny. Dalszemu pogorszeniu uległa sytuacja po śmierci Ottona III i Sylwestra II. Ale przed uzyskaniem zgody zewnętrznej Bolesław używał już tytułu królewskiego. Powyższe studium należy niewątpliwie do najcenniejszych w całej książce. Bardzo cenny jest również końcowy ekskurs p. t. „Thietmara relacje o pobycie Mieszka I na zjazdach wielkanocnych w Quedlinburgu w r. 973 i 986“. Przeprowadzona tu analiza źródłowa może być uznana za wzorową. W wysoce interesującej swej książce autor zdołał uzyskać cały szereg bardzo szczęśliwych rozwiązań naukowych.

Dr. Kazimierz Tymieniecki

Karol Górski: Państwo Krzyżackie w Prusach. Nakład Instytutu Bałtyckiego. Gdańsk, Bydgoszcz 1946 r. — stron 295.

Zdawaćby się mogło, że sprawa krzyżacka należy do najlepiej zbadanych zagadnień naszej przeszłości. Od czasów Długosza wypowiadali swój sąd w tej sprawie niemal wszyscy nasi czołowi historycy, najwięksi nasi mistrzowie słowa i pędzla tworzyli swe arcydzieła, biorąc właśnie sprawę krzyżacką jako źródło swych natchnień.

Tymczasem stosunek nasz do tej sprawy był do tej pory dość jednostronny. Przywykliśmy bowiem patrzeć na nią od strony Krakowa. Wystarczyło spojrzeć na nią skądinąd ze strony Gdańska, czy Torunia, ażeby zdobyć zgoła inny jej aspekt i to aspket wielce interesujący, a dla nas bardzo pouczający.

Wychodząc z tego punktu widzenia okazuje się, że nasza wiedza o Krzyżakach wykazuje sporo luk i braków. Luki te usiłowało wypełnić w ostatnim dziesięcioleciu przed wojną grono młodych badaczy, którzy, wyszedłszy z na-

szego Uniwersytetu Poznańskiego skupili się około Toruńskiego Twa. Nauk. i Instytutu Bałtyckiego. Do tego grona należy i Prof. Karol Górski, którego monografia: „Państwo Krzyżackie w Prusach“ jest przedmiotem niniejszej recenzji. Opracowana jeszcze w czasach okupacji wyszła nakładem wspomnianego Instytutu Bałtyckiego w r. 1946.

Książka to niewielka — o 270 stronicach tekstu, z 6 mapkami, a jakżeż bardzo cenna i na czasie. Dość powiedzieć że dotychczas nie posiadaliśmy w naszej historiografii dzieła, obejmującego całokształt historii państwa krzyżackiego na naszych ziemiach, ściśle mówiąc, na Pojezierzu Prusko-Pomorskim. Chociaż więc książka ta swoją treścią nie dotyczy specjalnie naszego regionu geograficznego, Wielkopolski, sądzę, że należało czytelnikom Przeglądu Wielkopolskiego zwrócić uwagę na tę dla nas tak ważną i aktualną publikację.

Państwo krzyżackie to unikat w dziejach ludzkości, dziwotwór, któremu podobnego nie znajdziesz na przestrzeni wieków. Jest to państwo zakonu i to zakonu nie poświęconego ascezie i modłom, ani szerzeniu słowa Bożego, lecz zakonu rycerskiego, który widział swój cel istnienia w podboju i ujarzmianiu niewiernych.

Dziejami tragicznej pomyłki pokoleń, dziejami złego sumienia nazywa autor we wstępie do swej monografii historię tegoż państwa. Kapitalne, bajeczne to określenie, które powinno przejść do świadomości nietylko nas samych, lecz wszystkich Słowian, ba wszystkich narodów, bazujących na kulturze chrześcijańskiej. Tego splotu hipokryzji i brutalności, pychy i układnej pokory, a zarazem władczej przekory, buty i wyniosłości, żądzy panowania nad innym człowiekiem dlatego tylko, że jest innym, tego splotu zbrodniczości i fałszu, jaki krył się pod białym płaszczem z czarnym krzyżem nie zaznał w swych dziejach, ani też nie zrozumie go żaden inny naród, a i nam trudno było należycie w to wszystko się wmyśleć, dopóki ideologia Krzyżaków nie wcieliła się za naszych dni w ich hitlerowskich naśladowców.

Trzystoletnie dzieje tego zakonu i jego państwa od jego zarania aż do niesławnego końca, jego podboje i jego upadek, jego stosunek do sąsiadów i poddanych, jego politykę gospodarczą, osiedleńczą i handlową tak bardzo odbiegającą od ówczesnych wzorów, a tak bardzo przypominającą nam poczynania współczesnych państw totalistycznych kreśli nam autor na kartach swej monografii w sposób jasny i wyczerpujący. Czyta się tę książkę jednym tchem. Nie brak jej momentów o dramatycznym napięciu jak dramatycznym był nieraz przebieg historii tego dziwnego państwa. Podkreślić pragnę, że styl autora jest zawsze prosty, jasny, zwięzły i nader obiektywny. Nie ma tu miejsca na puste frazesy, na nieszczery patos. Każde słowo jest tu odmierzone, pełne umiaru. Cała narracja jest niezmiernie zwięzła, niestety powiedziałbym — aż nadto zwięzła.

Autor gromadzi w swej historii tyle faktów i faktów, że czytelnik odkłada książkę po jej przeczytaniu niemal ogłuszony tą masą nazwisk, wypadków i nagromadzonych w niej dat, a chcąc się należycie wyznać w poszczególnych fazach omawianego przebiegu dziejowego musi do książki ponownie wracać, ażeby ją móc przetrawić.

Ta żądza autora wtłoczenia w tak ciasne ramy jak największej ilości szczegółów jest niewątpliwie największą wadą książki. Ażeby wszystko to, o czym autor wspomina mogło być należycie wyjaśnione, omówione i uwypuklone, powinna książka jego rozrosnąć się do podwójnych ba — potrójnych rozmiarów.

Ta zbytnia zwięzłość i skąpość w słowach przejawia się również w przypisach, służących do udokumentowania twierdzeń autora. Skutkiem tego sporo twierdzeń bardzo ciekawych, a może i trafnych (np. o pochodzeniu Rejtana i gen. Dąbrowskiego od starych Prusów) pozostawia autor bez udokumentowania.

Niewszystkie partie książki są równie wyczerpujące. Najobszerniej traktuje autor wiek XV, przedmiot właściwych swych studiów archiwalnych, najpobieżniej (a szkoda) stosunek Prus do Polski przed podbiciem Krzyżaków.

Skąpo, zbyt skąpo traktuje też autor główne postacie dziejowe, które występują w jego opowiadaniu. Jest ich cały tłum. Skorowidz osobowy, podany na końcu książki obejmuje blisko 10 stron druku i ponad 500 nazwisk. Oczywiście nie można żądać od autora, żeby charakteryzował, choćby większość tych postaci. Chodzi o najważniejsze — pierwszoplanowe — dramatis personae.

Toć ostatecznie człowiek jest głównym motorem w biegu historii. Nie szara masa ludzkich zer, lecz owa jednostka, która — wysunąwszy się na czoło tych zer nadaje im dopiero znaczenie i ich właściwą wartość.

A takich wybitnych — wodzowskich postaci — kryło się pod białymi płaszczami z czarnymi krzyżami niemało. I w naszych szeregach możnaby znaleźć niejednego partnera, któryby zasługiwał na należyte uwypuklenie. Zgoda, że średniowiecze jest szczególnie niewdzięcznym terenem do studiów psychologicznych. Ludzi ówczesnych nie można osądzać ani z ich pism, bo byli często niepiśmienni, ani też z dokumentów, które były utrzymane w hieratycznych formułkach, lecz z wnikliwego zestawienia ich czynów można wydobyć z zamierzchłej i zatartej przeszłości ciekawe profile ludzkie, jeżeli nie poprzestanie się na szablonowych i gołosłownych twierdzeniach.

Autor podaje nam kilka trafnych, ciekawych sylwetek spośród licznego korowodu swych postaci. Czyni to na swój sposób: treściwie, zwięźle, zbyt skąpo. Nie chodzi tu o wielomówność, o zbytnie nagromadzenie szczegółów. Czasem jedno dosadne określenie, jeden charakterystyczny fakt starczy za wszystko, często konfrontacja dwóch przeciwstawnych natur zdoła uwypuklić i jedną i drugą postać. Bezcielesne mary ożywiają się i przemawiają do wyobraźni czytelnika. Wtedy — i tylko wtedy może historyk z zadowoleniem stwierdzić, że osięgnął w całej pełni swe zamierzenie.

Mam wrażenie, że zbytni umiar i zbytnia oględność autora niezawsze umożliwiły mu osiągnięcie tego celu. Tylko nieliczne postacie powiodło mu się należycie uwypuklić jak np fałszywego mnicha i arcyprzebiegłego dyplomatę Hermanna von Salza i jego prostaczego, nieudolnego, a okrutnego kontrpartnera Konrada Mazowieckiego, lub zimnego, bezwzględnego łotra łupieżcę marszałka a potem w. mistrza v. Altenburga, ten prawzór hitlerowskich „Panzergenerałów" i zawziętego, nieustępliwego w dochodzeniu swych praw, ale jakże nieoględnego króla Łokietka, oraz jego wielkiego syna, który przegraną wojnę potrafił zakończyć najkorzystniejszym w danych warunkach, a więc zwycięskim pokojem. Dostatecznie występuje jeszcze sylwetka brutalnego i zuchwałego, a zdecydowanego na wszystko Henryka v. Plauen, który po Grunwaldzie wydarł Jagielle owoce zwycięstwa. Słabiej uwypuklają się profile Jagiełły i naszych Jagiellonów. Autor nie podkreśla należycie faktu, że Jagiellonowie, aczkolwiek spolszczeni czuli się jednak dziedzicznymi władcami Litwy, a w interesie Litwy, zwłaszcza o ile chodziło o jej unię z Polską, nie leżało zupełnie zniweczenie i wyeliminowanie zakonu. Dlatego też Kazimierz Jagiellończyk, ten twardy, uparty i bezwzględny monarcha, niewątpliwie największy król, którego nam dała ta dynastia, po przezwyciężeniu największych trudności, w przededniu ostatecznej likwidacji zakonu powstrzymuje zwycięską ofenzywę Piotra Dunina i godzi się na kompromisowe, a więc połowiczne załatwienie sprawy w drugim pokoju toruńskim.

A już najsłabiej występuje ostatnia para partnerów: Albrecht Hohenzollern i Zygmunt Stary.

A przecież w tych dwóch postaciach tkwi ostatecznie klucz do rozwiązania zagadki fatalnego dla Polski załatwienia sprawy krzyżackiej.

Autor dostatecznie jasno i przekonywująco przedstawia nam, że Krzyżacy pod względem militarnym przedstawiali wówczas taką wartość bojową jak dzisiejsza gwardia papieska, że kasy ich były puste, niezdolne do opłacania na dłuższą metę rot zaciężnych, że wojska polskie stały u wrót Królewca, że cała akcja dyplomatyczna Albrechta była zwyczajnym bluffem i szantażem, za którym nie krył się ani cień siły, dodajmy — o czym autor nie wspomina —

że dyplomacja cesarska i papieska tuż przed zawarciem feralnego traktatu krakowskiego zaczęła się odwracać od Albrechta, jako podejrzanego o konszachty z Lutrem. Co mogło opętać tak dalece naszego Zygmunta, że po kilkudniowych zaledwie układach w przededniu wygaśnięcia rozejmu przyjął krnąbrnego siostrzeńca do łask i wzamian za publiczne złożenie hołdu nadał jemu i wszystkim jego braciom rozległą spuściznę krzyżacką wraz ze wszystkimi grodami, zajętymi podówczas przez załogi polskie, a nadobitek pierwsze miejsce w senacie Rzeczyposp. Przytoczona przez autora hypoteza Prof. Wojciechowskiego, że chodziło tu o wygranie Hohenzollernów przeciwko Habsburgom nie przemawia mi do przekonania, gdyż o taki dar przewidywania przyszłości nie można posądzać Zygmunta i jego doradców, którzy tak słabo orientowali się w ówczesnym układzie sił w Europie zachodniej. Tajemnicę tę wykryje dopiero zimny, bezlitosny skarpel badań historyczno-psychologicznych, zastosowany na osobach samego Zygmunta i jego partnera Albrechta. Czyżby sprytny, wścibski jak cały jego klan i w lot orientujący się w nowych prądach i ideach Albrecht miałby tak samo górować nad przyciężkim, dobrodusznym, a wygodnickim wujaszkiem jak przed trzystu laty Herman v. Salza nad księciem Konradem? — Ostatecznie w kilka tygodni po złożeniu hołdu na rynku krakowskim książe Albrecht oficjalnie przyznał się do luteranizmu, rozpędził w Prusach na 4 wiatry Krzyżaków, a nikt w całej Rzeszy i w Europie nie ruszył palcem w ich obronie.

Książka Prof. Górskiego pozostawia więc sporo jeszcze luk do wyjaśnienia w dziejach państwa krzyżackiego, niemniej jest bardzo cenną pozycją w naszej historiografii, dotyczącej tej sprawy.

Dr Mieczysław Jabczyński

Dr W. Jakóbczyk: Doktór Marcin. Wydawnictwo Zachodnie. Poznań 1946, — stron 195.

Stulecie śmierci Karola Marcinkowskiego obchodzone uroczyście w listopadzie 1946 wykazało dobitnie aktualność tej postaci. W wirze wydarzeń powojennych znalazł się czas na rozpamiętywanie o tym wielkim dobroczyńcy ludzkości i budzicielu społeczeństwa polskiego. Obchody wypadły jeśli nie imponująco, to w każdym bądź razie szczerze i w nastroju podniosłym, czego nie da się powiedzieć o obchodach ku czci Tadeusza Kościuszki i Edwarda Dembowskiego, które również przypadły na ten sam rok. I trudno się dziwić. Imię Kościuszki tak wszechmocne w dobie porozbiorowej, straciło swój blask, gdy zaświtała wolność, gdy odpadła potrzeba patriotycznych wzruszeń a przed społeczeństwem w niepodległej Polsce powstały zgoła odmienne problemy. Jeszcze łatwiej ulec musiało zapomnieniu imię Dembowskiego, którego główna zasługa leżała w dziedzinie działań konspiracyjnych i nieaktualnych już haseł wolnościowych. Inaczej ma się rzecz z Marcinkowskim. Jego wskazania, niedość zrozumiałe przez współczesnych nabierały znaczenia w miarę jak nowe nastawały czasy i zachowały swą aktualność aż do dnia dzisiejszego. Bo jak z jednej strony winien naród polski, porzuciwszy swój romantyzm wojenny wejść wreszcie na drogę realnej pracy gospodarczej i ekonomicznej, którą głosił Marcinkowski, tak znów z drugiej strony pamiętać winien, że nie można utonąć wyłącznie w materializmie, ale krzesać trzeba w sobie uczucie miłości bliźniego i śladem Marcinkowskiego żyć dla ogółu. Z tych względów aktualność Marcinkowskiego przetrwa zapewne jeszcze długie lata.

Stulecie zgonu przyniosło również obfity plon naukowy. Szereg czasopism naukowych, w tym wszystkie wychodzące w Poznaniu, poświęciły Marcinkowskiemu dużo miejsca. Niemniej historycy poznańscy zajmujący się badaniem nowszych dziejów skierowali swoją uwagę na postać Marcinkowskiego, skąd wiele nowych wzniesiono do nauki szczegółów. Pierwsze przecież miejsce pod tym wzlędem, zarówno co do rozmiarów jak i treści zajęła książka W. Jakóbczyka.

Autor podzielił swoją pracę na trzy zasadnicze rozdziały. Opisał Młodość, którą nazwał romantyczną. Przełom jaki dokonał się u Marcinkowsiego na emigracji oraz Przodownictwo.

które mu przypadło w ostatnim okresie życia. Jest to podział zasadniczo słuszny jakkolwiek okres przodownictwa można było podzielić na dwie części, przyczym pierwsza objęłaby lata rzeczywistej hegemonii Marcinkowskiego, druga zaś skreśliłaby jego zmierzch.

Bardzo wyraziście rysuje się w ujęciu Jakóbczyka sylwetka Marcinkowskiego. I człowiek i społecznik wychodzą w mocnych barwach na szerokim tle epoki. Słusznie podkreśla autor, że Marcinkowski choć żył w dobie rozkwitu romantyzmu zdołał go przezwyciężyć i stał się apostołem nowych prądów, które zwie prepozytywizmem. Jakoż bodaj nic kto inny jak tylko Marcinkowski torował ścieżki prądowi, który zczasem miał zawładnąć całokształtem życia narodowego. Szkoda tylko, że autor niedość wniknął w arkana prywatnego życia twórcy Bazaru, które musiało być intensywne lubo niewiele przekazane zostało potomności. Bądź co bądź poszlaki wiodą ku uczuciu jego do Emilii Sczanieckiej, o czym ku oburzeniu współczesnych wspomina Mann, jak jeszcze bardziej względem Albertyny Kolskiej, w której domu, gdy była wolną po śmierci męża, mieszkał Marcinkowski aż do zgonu. Autor jednak wolał być w tym wypadku bardzo ostrożnym i trzymać się li tylko materiału pewnego, choć równocześnie gdzieindziej stawał się bardziej liberalny i wysuwał własne przypuszczenia (np. na stronie 25, gdy wspomina o wstępnej niepewności Marcinkowskiego jako lekarza). Krótko też rozprawił się z wysuwaną parokrotnie hipotezą o przynależeniu Marcinkowskiego do masonerii. Ta hipoteza istotnie na dość kruchych oparta była podstawach, więc słusznie, że jej nie przyjął. Jedyne mogące wchodzić w rachubę świadectwo Minutoliego jest w tym wypadku taksamo niewystarczające, jak w sprawie religijnych praktyk Marcinkowskiego. I tu przydałaby się rewizja. Uchybieniem również nazwać można przypisywanie Marcinkowskiemu zasług, które mu przydała legenda. Bądź co bądź nie on skierował Cegielskiego do zawodu praktycznego, ile raczej Łukaszewicz.

Szczegółowo omawia autor genezę głównych instytucji, które stworzył Marcinkowski. W odniesieniu do Bazaru Poznańskiego miał gruntowną pracę A. Skałkowskiego, poza którą bodaj nie wyszedł, natomiast tonące w mrokach pradzieje Towarzystwa Pomocy Naukowej potraktował oryginalnie i samodzielnie. Autor oparł swoją koncepcję genezy Towarzystwa na szerokiej kolaboracji ludzi różnych zapatrywań i kierunków. Chce obok ludzi z ścisłego otoczenia Marcinkowskiego widzieć także osoby z obozu przeciwnego. Wątpić jednak należy, czy poza Libeltem i Moraczewskim inni przyłożyli do tego ręki. Jakoż Bibianna Moraczewska pomija je całkowicie milczeniem a Julia Wojkowska wręcz je atakuje. Pozatym nawet współudział Libelta i Moraczewskiego okazuje się bodaj późniejszej daty. Niema ich w każdym razie w najpierwszym składzie Towarzystwa z roku 1837, gdzie figurują nazwiska Marcinkowskiego, Macieja Mielżyńskiego, i Mendycha. Autor wszakże nie uważa tego przedsięwzięcia za publiczne, lecz tylko czysto prywatne, datując właściwą historię Towarzystwa dopiero od r. 1841.

Nasuwają się i inne wątpliwości, które należałoby wyjaśnić względnie rozwinąć. I tak niedość jasno wypadło oświetlenie roli Marcinkowskiego w Polonii, jakie było jej echo w społeczeństwie i jakie dla niego samego stąd skutki. Nie ustalił autor także dostatecznie roli Marcinkowskiego w powstaniu listopadowym. Nie rozwinął wreszcie należycie jego zabiegów o stworzenie teatru polskiego, choć była to koncepcja oryginalna, zbliżona do Skarbkowej a urzeczywistniona w roku 1870 także w Poznaniu.

Całość niemniej wypadła bardzo sumiennie i wnikliwie, tak że praca Jakóbczyka stanie się niezawodnie trwałą pozycją naukową w dziedzinie badań nad biografią Jana Karola Marcinkowskiego i nad jego epoką.

Dr. Zdzisław Grot

Zdzisław Grot: 100 lat Zakładów H. Cegielski. 1846—1946. Poznań 1946 r. — stron 238.

Coraz trudniejszym staje się zawód historyka. Dawniej, gdy uznawano jako

jedynie godne uwagi dziejopisa tematy z zakresu wojen, lub polityki, wystarczyło, oprócz mniej lub więcej dokładnej analizy źródeł, zapoznać się z zasadami polityki i strategii, a ponoć stokroć łatwiej jest ferować wyroki na wodzów i mężów stanu ex post przy zielonym stoliku, aniżeli kierować żywymi ludźmi na polu bitwy, czy na arenie parlamentarnej, czy dyplomatycznej. To też niejeden wybitny historyk, gdy przyszło mu wykazać w praktyce swe doświadczenie polityczne sprawiał rozczarowanie i współczesnym i potomnym.

Dzisiaj, gdy zakres historii obejmuje wszelkie przejawy zbiorowego życia ludzkiego, historyk musi posiadać wszechstronne zainteresowania. Musi porać się z zagadnieniami z dziedziny ekonomii społecznej, socjologii, psychologii, ba, nawet bywa z dziedziny techniki, zwłaszcza, gdy jak w omawianym wypadku, chodzi o przedstawienie dziejów wielkiej fabryki metalurgicznej.

Nie mogę powstrzymać się od wyrażenia autorowi już teraz na wstępie mych uwag o jego książce, podziwu dla odwagi, z jaką podjął się opracowania monografii o zakładach H. Cegielski w Poznaniu. Temat niewątpliwie bardzo trudny, gdyż odbiegający od zainteresowań historyka — humanisty, lecz autor, pracując już nad monografią, poświęconą założycielowi tych zakładów, wgryzł się poniekąd w tajniki wiedzy technicznej, a idąc za przykładem bohatera swej monografii przeszedł, jeżeli nie praktycznie to chyba teoretycznie wstępny kurs z zakresu urządzeń technicznych tego rodzaju fabryki i zapoznał się z bogatą, a dla laika tak obcą terminologią techniczną tej dziedziny wiedzy.

W rzeczy samej Dr Grot wywiązał się pod tym względem doskonale ze swego zadania, posługując się na kartach swej monografii z zadziwiającą biegłością nietylko nomenklaturą różnorodnych produktów firmy H. Cegielski, lecz wykazując należytą orientację w ulepszeniach, które fabryka stosowała z biegiem czasu w swojej produkcji.

Dalszą trudnością, z którą porać się przyszło autorowi był odpowiedni układ i dobór materiału, który zamierzał opracować. Pod tym względem skazany był na własną inwencję. Poza monografią Zalewskiego, poświęconą dziejom przemysłu w b. Galicji brak w historiografii polskiej analogicznych opracowań, a układ i zakres wspomnianej monografii jest zgoła odmienny od tego, jaki tu należało zastosować. Tak więc i pod tym względem była to robota iście pionierska.

Podkreślić należy, że układ obfitego, lecz niepełnego materiału, którym autor rozporządzał, jest wysoce przejrzysty i trafny.

Po krótkim wstępnym rozdziale, omawiającym rozwój przemysłu w Księstwie Poznańskim w I połowie wieku XIX i po zapoznaniu czytelników z życiem i działalnością założyciela fabryki Hipolita Cegielskiego, przedstawia nam autor stuletnie dzieje zakładów w sześciu etapach rozwojowych:

a) pod zarządem założyciela (1846—1868))

b) pod zarządem Wł. Bentkowskiego i syna założyciela (1868—1899)

c) u schyłku okresu niewoli pod zarządem Dyrekcji Twa. A. (1899—1918)

d) w okresie niepodległej Polski (1919—1939)

e) pod okupacją niemiecką (1939 1945)

f) i w wolnej Polsce (ostatni rozdział pióra Jana Dmochowskiego).

Dochodzą wykresy, statystyki, plany i na końcu odnośniki. Również układ poszczególnych rozdziałów przeprowadzony jest według pewnego stałego schematu. A więc po omówieniu sytuacji ogólnej i po charakterystyce kierowników fabryki w tej fazie jej rozwoju, zapoznaje nas autor z organizacją techniczną (z rozrostem terenu i zabudowań fabryki, oraz z jej produkcją), z organizacją społeczną i organizacją handlową. Ta jasna, chociaż nieco pedantyczna i schematyczna konstrukcja książki ułatwia czytelnikom zorientowanie się i przebrnięcie przez masę szczegółów ekonomicznej, technicznej, społeczno-prawnej i handlowej natury, które autor nagromadził, i czyni książkę dostępną i interesującą nietylko dla ekonomistów i społeczników, lecz również dla techników i handlowców. Każdy z nich z łatwością wyszuka

w książce dra Grota to, co go specjalnie zajmuje. Ten systematyczny, a przejrzysty układ materiału uważam za wielki plus w żmudnej i trudnej jego pracy.

A materiału nagromadził autor sporo. Wprawdzie archiwum zakładów wykazuje bardzo poważne luki i braki, zwłaszcza z okresu najbardziej nas interesującego, z doby niewoli, jednakowoż autor potrafił luki te, o ile to było możliwym, wypełnić z notatek, skrzętnie pozbieranych z łamów ówczesnej prasy (Dziennik Poznański, Ziemianin), z rocznych sprawozdań Poznańskiej Izby Handlowej, a w braku innych nawet z ustnych relacyj starych pracowników fabryki. Przyznać trzeba, że luki te, których nie powiodło się wypełnić, są dość znaczne i dotkliwe, zwłaszcza, jeżeli chodzi o ilościowy stan wyprodukowanych fabrykatów, oraz o obroty handlowe firmy, tak że wartość produkcji i ilość pracowników udało się autorowi uchwycić w formie wykresów zaledwie za ostatnie piętnastolecie, wzgl. dwudziestolecie fabryki od roku 1924 do 1939 wzgl. 1946. Niemniej jednak wykorzystanie materiału źródłowego tak niepełnego i różnolitego, jakim autor rozporządzał, uważać należy za wzorowe.

Dla nas, czytelników fachowo specjalnie niezainteresowanych najciekawsze pozostają owe syntetyzujące podrozdziały, umieszczone u wstępu do poszczególnych rozdziałów książki.

Przewija się w nich w kapitalnych skrótach obraz rozwoju gospodarczego Wielkopolski i sąsiednich terenów poprzez cały wiek XIX i pierwszą połowę wieku XX. Autor nie traci nigdy z oczu swego specjalnego celu: historii fabryki H. Cegielskiego, podmalowuje jednak szeroko tło jej rozwoju i wykazuje, jak bardzo eksponowany posterunek zajmowała fabryka ta w stuletnim zmaganiu się narodu polskiego z zalewem niemczyzny na polu gospodarczym. Te części dzieła autora powinny specjalnie zainteresować naszych publicystów i najszersze kręgi naszej publiczności. I znowu tok naracji, stosowany przez autora w całym dziele uderza nas swoją treściwością i jasnością. Nie ma tu miejsca na roztkliwianie się nad naszą niedolą w dobie niewoli, jest tylko męskie, oparte na ścisłych danych stwierdzenie faktów, suchy, obiektywny opis walki narodowościowej, prowadzonej na odcinku najbardziej dla nas groźnym, na odcinku gospodarczym; walki, w wyniku której właśnie w Poznaniu, w kraju zupełnie pozbawionym odpowiednich surowców, przy konfiguracji komunikacyjnej z woli najezdzcy jak najbardziej niekorzystnej mogło się rozwinąć i przetrwać jedno z najaktywniejszych ognisk ciężkiego przemysłu na naszych ziemiach. Na tym tle zawziętej walki konkurencyjnej pomiędzy jedyną godną uwagi placówką przemysłową polską Księstwa, a potężnym przemysłem maszynowym niemieckim, popieranym całą siłą rządu zaborczego, kreśli autor ciekawe sylwetki kierowników fabryki z tej doby: Hipolita Cegielskiego, jej założyciela, Władysława Bentkowskiego i syna założyciela Stefana Cegielskiego. — Każda z tych postaci prosi się o monograficzne potraktowanie, bo każda z nich to w swoim rodzaju reprezentatywna figura owych czasów.

Najwięcej światła skupia autor na założycielu Hipolicie. I słusznie. Toć to jeden z najoryginalniejszych działaczy polskich XIX wieku, ten polonista-nauczyciel i naukowiec i kupiec-przemysłowiec w jednej osobie, a zarazem niestrudzony społecznik pełen rozmachu i inicjatywy, wytrwały, arcyskrupulatny pracownik o nieugiętej sile woli, typ pioniera uprzemysłowienia kraju w wielkim stylu, przypominający typy pionierów amerykańskich. Odjąć mu sarmackie wąsy, a przypominałby fizjognomią swoją bodajże Lincolna. A obok niego Władysław Bentkowski, uczestnik bojów powstańczych z roku 1831, 1849, (na Węgrzech) i 1863 r., poseł do sejmu pruskiego i pruski więzień stanu, skrupulatny kasjer bankowy i ostrożny kierownik fabryki (autor zarzuca mu zbytnią ostrożność), wierny druh i przyjaciel zmarłego założyciela fabryki, a w końcu swego bujnego żywota trzeźwy pamiętnikarz kampanii Langiewicza. Wreszcie szambelan Stefan Cegielski, epigon wielkiego ojca, oczywiście mniejszego formatu, ale też pracujący w warunkach o ile trudniejszych, uginający się pod brzemieniem wielkiego spadku i imienia. Autor kreśli jego sylwetkę, dobierając ze swej

palety może zbyt ciemnych barw. Walka z przemysłem niemieckim i z rządem pruskim zaostrzyła się pod schyłek wieku XIX wielokrotnie. syn nie przeszedł za młodu ani tak twardej szkoły jak ojciec, ani nie posiadał jego nieustępliwej natury bojowej. Historia niewiele zna przykładów, by syn przewyższał wielkiego ojca. Ostatecznie Stefan uczynił to, co w danej sytuacji było jedynym ratunkiem dla zagrożonego upadkiem dzieła ojcowskiego: przerzucił ciężar, przerastający i jego siły organizacyjne i finansowe na ciało zbiorowe towarzystwa akcyjnego, a właściwie na społeczeństwo, bo od tej chwili, od roku 1899 fabryka H. Cegielski T. A. stała się dziełem społecznym w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Tej trójcy pierwszych trzech kierowników fabryki z doby wieku XIX odpowiada trójca trzech głównych kierowników fabryki z doby międzywojennej: Seweryna Samulskiego, inżyniera Henryka Suchowiaka i inż. Dr Adama Kręglewskiego. Osoby ich są na terenie Poznania i całej Wielkopolski zbyt znane i zbyt bliskie naszej pamięci, ażeby je na tym miejscu omawiać. Sylwetki ich, nakreślone przez autora z widocznym umiłowaniem są trafne i udatne i zasługują na szczegółowsze omówienie na łamach Przeglądu Wielkopolskiego. Może któryś z żyjących jeszcze współpracowników z terenu fabryki podejmie się tego miłego, a ciekawego zadania. Zwłaszcza pierwszy z nich Seweryn Samulski, ten ciekawy self made man wielkopolski wieku XX zasłużył sobie na dokładniejsze omówienie swej działalności, niż to mógł uczynić autor, nie chcąc zbytnio rozsadzać ram swego opowiadania.

Duże zainteresowanie budzić muszą uwagi autora, poświęcone warunkom pracy personelu, zatrudnionego w fabryce i biurach fabrycznych. Niestety ilościowy stan tego personelu mógł autor ująć w odpowiednim wykresie dopiero od roku 1924. Waha się on między cyfrą 2000 w r. 1934 a 10 000 w r. obecnym. Wahania te, wykazane w tym wykresie są niezmiernie znamienne, jeżeli porówna się ten wykres z wykresem produkcji w latach 1924—39. Z dawniejszych czasów dowiadujemy się, że w r. 1857 zatrudniał Cegielski 80 pracowników, która to cyfra w r. 1861 doszła do 280, ażeby skurczyć się w czasie powstania styczniowego do 170 i wahać się poprzez cały wiek XIX między 200 a 250 pracowników. W wieku XX stan ten ulega powolnej zwyżce: dochodzi do przeciętnej cyfry 300 pracowników przed wybuchem pierwszej wojny światowej, a w r. 1918 do 450 pracowników.

Liczby powyższe stosunkowo najlepiej odzwierciedlają rozwój fabryki pełen wahań i skoków naprzód, oraz klęskowych załamań, i wcale nie tak świetny i konsekwentny, jakby się postronnym wydawać mogło.

Ciekawe są również dane, ilustrujące warunki społeczne tych pracowników. Nie odbiegały one wielce od wzorów, stosowanych podówczas w średnich zakładach przemysłowych w Niemczech, chociaż pozostawały znacznie w tyle poza warunkami pracy, panującymi już u schyłku XIX wieku na zachodzie, gdzie pracownik miał i staranną opiekę lekarską i szkoły i teatr i biblioteki. Pod tym względem następcy Hipolita Cegielskiego niewiele potrafili się wznieść ponad to, co uczynił sam założyciel. Tak było w dobie niewoli. A jednak panowało wśród zatrudnionego personelu silne przywiązanie do fabryki, istny duch klanu, który przetrwał do tej pory u starych pracowników. Nie słychać też o jakichkolwiek zatargach pracowników fabryki z jej kierownictwem. To samo patriotyczne nastawienie społeczeństwa, ażeby utrzymać fabrykę za wszelką cenę, udzielało się również i robotnikom.

Reasumując swe uwagi o książce autora, pragnę wyrazić uznanie dla pracy i sumienności, a zarazem umiejętności, z jaką wywiązał się autor ze swego trudnego zadania. Książka zawiera dużo momentów arcyciekawych, do których czytelnik po przeczytaniu całości chętnie będzie powracał.

Styl jasny i czysty, korekta bez zarzutu.

Dr. Mieczysław Jabczyński

Documenta Occupationis Teutonicae. Tom III. — Wspomnienia młodzieży wielkopolskiej z lat okupacji niemieckiej 1939—1945. — Opracowali Dr Zdzisław Grot i Dr. Wincenty Ostrowski — Poznań, Instytut Zachodni 1946. — stron 315.

Dr Grot i dr Ostrowski jasno tłumaczą czytelnikowi przyczyny zebrania takiego materiału dokumentarnego. Należy tu wyrazić tylko ubolewanie, że praca tak późno ukazała się w druku. Można się bowiem obawiać, że na temat życia w czasie okupacji napisano (i naczytano!) już mnóstwo. Księgarze meldują pewien przesyt czytelnika tą lekturą W tej chwili obawiam się właśnie, że „Wspomnienia młodzieży" nie będą z taką pasją rozchwytywane, jak pierwsze wydawnictwa, traktujce ten odcinek naszego życia.

Gdyby się tak stać miało, stracilibyśmy wszyscy na tym. Wszyscy, których interesuje problem młodzieżowy. Wszyscy, którzy są odowiedzialni za jej wychowanie. Wszyscy, którzy chcą budować Nową Polskę.

Kto ją chce budować musi dokładnie poznać nasze dzieci i młodzież.

My — trudniący się praktyką szkolną, znamy ją dobrze. Gdy widzimy, obserwujemy zdemoralizowanie, zdziczenie części młodzieży, zdajemy sobie sprawę z przyczyn takiego stanu rzeczy.

Przykładem pewne autentyczne zdarzenie z terenu jednej ze szkół powszechnych m. Poznania.

Nauczycielka B., więźniarka obozu oświęcimskiego na lekcji języka polskiego mówi z dziećmi kl. II na temat sportów zimowych i związanej z tym przygody topienia się chłopca, a dalej o akcji ratunkowej. Wszystko odbywało się zupełnie normalnie, dopóki nie padło zdanie: Zawsze należy przyjść z pomocą tonącemu.

Wtedy 9-letni Krzyś zapałał oburzeniem, zaprzeczając, że nie zawsze trzeba ratować. Rzucił współkolegom twardo: „A Germana? — Ja bym go jeszcze wpakował pod lód.... Bo co oni z nami robili?".

Nauczycielka starała się odwoływać do uczuć humanitarnych. A 9-letni Krzyś na to: „Proszę pani, w książkach to zawsze wszystko jest takie ładne, ale w życiu jest inaczej". I nie przekonała Krzysia, chociaż starała się wychowawczo oddziaływać.

Czemu go nie przekonała? — Na to pytanie odpowie nam książka, którą zmontowali dr Grot i dr Ostrowski.

A ponieważ tym pytaniem interesować się winni wszyscy, książka ich powinna znaleźć się w każdym domu.

Jeżeli ktoś już obecnie nie posiada sił, by wspomnienia te dziś przeczytać, niechaj zakupi ją dla swych dzieci na czas późniejszy. Zaznaczam, że do przeczytania całości trzeba mieć mocne nerwy. Nieproszone łzy cisną się do óczpodczas czytania, wzruszenie głębsze udziela się człowiekowi, gdy przypomni sobie i uświadomi życie jednostek ludzkich, które nie zaznały dziecięctwa sielskiego-anielskiego.

Pedagog chętnie zaleci tę książkę i tym, którzy niebacznie — gdy obserwują dzisiejsze „dzieci nie-dzieci" — winią za ich stan psychiczny szkołę polską.

Pomijam tu celowo analizę dzieła, która obowiązuje recenzenta. Wypadłaby ona b. pochlebnie. Chciałem zwrócić tu uwagę czytelników na wartości inne, tkwiące we „Wspomnieniach młodzieży". Z nich poznajemy młodzież i dzieci współczesne, rozumiejąc, dlaczego młode pokolenie jest właśnie takie, a nie inne. Przeżyło okres 1939—1945. I jeszcze jedno: Gdyby książkę tę przetłumaczono na język angielski, stałaby się ona niewątpliwie najlepszym naszym ambasadorem i rzecznikiem na terenie międzynarodowym.

Mgr **Jan Szelejewski**

Przegląd Zachodni Rok II nr 11 Poznań. 1946.

Zeszyt listopadowy Przeglądu Zachodniego poświęcony jest pamięci Dr Marcinkowskiego.

Zdobi go reprodukcja popiersia Marcinkowskiego, dłuta współczesnego mu rzeźbiarza Wł. Oleszczyńskiego. Oryginał odszukany niedawno stał się jedną

z głównych ozdób wystawy, urządzonej w Muzeum Wielkopolskim w setną rocznicę zgonu wielkiego działacza.

Warto przypatrzeć się tej rzeźbie. Ile w niej szlachetności i dobroci, ile w tych oczach, wpatrzonych w nieuchwytną dal nieugiętej siły woli i stanowczości. Wpatrując się w tę twarz, odczuwamy, że mamy przed sobą wizjonera, czy apostoła, pioniera nowych idei, czy też przywódcę tłumów. Dłuto rzeźbiarza uwieczniło w sposób uderzający ogromny urok, który wywierał na współczesnych nasz wielki rodak, a zarazem ów tajemniczy czar, ową przepaścistą głębię jego duszy, która i dla nas potomnych kryje w sobie tyle nieodgadnionych tajemnic.

Artykuły, zawarte w omawianym zeszycie Przeglądu Zachodniego uzupełniają się wzajem i dają syntezę naszych zapatrywań na rolę i znaczenie dr Marcinkowskiego.

Wstępem do tego cyklu rozważań jest artykuł Mieczysława Suchockiego: Kultura czynu społecznego. Autor, rozważając rolę czynu, względnie działanie jednostki ludzkiej w rozwoju kultury, wyróżnia 2 zasadnicze momenty: pierwszy dotyczy pobudek, a drugi kierunku działania. Na przykładzie Marcinkowskiego stwierdza prawdziwość zasady, że nienawiść, egoizm, pycha, są nietwórcze i że nie ma kultury, poza miłością, a dalej, że czynić należy to, co dobrze zrozumiany duch czasu czynić nam nakazuje. Kiedy działał Marcinkowski cała Polska stanęła przed wielkim zadaniem dokonania na nowych zasadach głębokiej przebudowy społecznej. Jeżeli zadanie to wykonała jedna dzielnica w całej pełni, jest to wielką zasługą Marcinkowskiego i miarą jego wielkości w skali ogólnopolskiej.

Autorów dalszych artykułów zeszytu listopadowego Przeglądu Zachodniego znamy już z łam naszego Przeglądu Wielkopolskiego. Są nimi: Dr W. Jakóbczyk, Dr Z. Grot i Prof. A. Skałkowski.

Pierwszy z nich omawia działalność społeczno-polityczną Marcinkowskiego, drugi jego działalność wychowawczo-oświatową, trzeci wreszcie stan badań nad życiem i działalnością K. Marcinkowskiego.

Artykuły zwłaszcza dwóch pierwszych autorów dają czytelnikom syntezę działalności Marcinkowskiego, zarówno na polu społecznym i politycznym, jako też w dziedzinie wychowawczej i oświatowej w najszerszym tego słowa zakresie.

Wyszłe z pod pióra najwybitniejszych naszych znawców tej epoki dziejów Wielkopolski dają one w kapitalnym skrócie pogląd nietylko na działalność samego Doktora Marcina, lecz również na stan umysłów ówczesnych ludzi, oraz na trudności i opory, które przyszło mu zwalczać ze strony samegoż społeczeństwa wielkopolskiego, jak i ze strony władz pruskich. Naogół nie spotykamy tu rzeczy rewelacyjnych, lecz ujęte w sposób niezmiernie jędrny i wnikliwy, zasługują wywody autorów na szczególną uwagę wszystkich tych, którzy interesują się działalnością pioniera przebudowy społecznej naszej dzielnicy, oraz ówczesnym stanem politycznym, kulturalnym i społecznym Wielkopolski. A były to czasy ciekawe, czasy najbujniejszego życia W. Ks. Poznańskiego, czasy, w których żyło tu i ścierało się dużo wybitnych indywidualności, dużo tęgich głów i ciekawych charakterów. Autorzy przedstawiają nam całą ich galerię, obok wielkiego demokraty, wielkiego jego antagonistę hr. Raczyńskiego, a poza tym Cieszkowskiego i Libelta, nie mówiąc już o całej plejadzie pomniejszych działaczy, stanowiących sztab Dr Marcina. Dla każdego, ktoby pragnął bliżej zapoznać się z tą ciekawą epoką z przed stu lat, wywody Dr Jakóbczyka i Dr. Grota są niezmiernie pouczające i wprost niezbędne jako wstęp do dalszych badań.

Niemniej ciekawe i zastanawiające są myśli i uwagi Prof. Skałkowskiego, rozrzucone hojną ręką w jego niestety zbyt treściwym artykule: o stanie badań nad życiem i działalnością K. Marcinkowskiego.

Bibliografia Marcinkowskiego jest bogata i wciąż jeszcze narasta przez nowe opracowania jego życiorysu, czy ogłaszanie źródłowych przyczynków, a jednak tkwi w tej postaci dużo niewyjaśnionych zagadnień. Marcinkowski, jako człowiek pozostaje nam jeszcze pod wielu względami nieznany.

Przyczynił się do tego stanu rzeczy w poważnej mierze osąd w Gazecie Polskiej z r. 1848 (zdaje się Marcelego

Mottego): życie publiczne jest treścią całego jego (M.) życia, — życia prywatnego właściwie Marcinkowski nie miał. Kto żyje prywatnie, żyje dla siebie — a dla siebie Marcinkowski nie żył. Wolen od wszelkich związków ciasnotą swoją krępujących działalność, oddał wszystkie swoje siły fizyczne, wszystkie zasoby swego umysłu, całą energię niepokalanego charakteru na korzyść ludzkości, na korzyść narodu.

Wszystko to prawda, a jednak wiemy, że im wybitniejsza jednostka, tym bujniejsze pulsuje w niej życie, tym głębsze przeciwieństwa kryją się w jej sercu, tym potężniejsze namiętności miotają jej duszą, a sprzeczności charakteru, może pozorne, może dające się wyjaśnić, występują w profilu Marcinkowskiego niejednokrotnie. Na niektóre z nich pragnąłbym tu, niejako na marginesie artykułu Prof. Skałkowskiego zwrócić uwagę.

I tak — czy nie jest rzeczą zastanawiającą, że ten społecznik, tkwiący po uszy w wirze pracy społecznej, któremu nie była obca żadna sprawa, interesująca ówczesne społeczeństwo poznańskie, że ten filantrop, lekarz zdolny każdej chwili spieszyć na pomoc biedocie, że ten prawzór Dr. Judyma posiadał dochody tylko z samej swej praktyki lekarskiej, zadziwiająco wielkie, jak na owe czasy — 10 do 12 000 talarów rocznie? Majątku nie pozostawił żadnego. Wszystkie te ogromne dochody, zdobyte pracą ponad siły, pochłonęła jego działalność filantropijna, a jednak faktem pozostaje, że w sercu tym, tak pełnym miłości i oddania dla wszystkich, którzy potrzebowali wsparcie, czy pomocy, tkwił krzemień egzekwowania wysokich honorariów lekarskich od tych, których stać było na opłacenie porady lekarskiej. Albo takie lapidarne spostrzeżenie Prof. Skałkowskiego, że obok dobroci i prostoty Marcinkowskiego, cechowała go porywczość i wyniosłość, nawet gburowatość, zwłaszcza, że stan zdrowia czynił go drażliwym i gwałtownym.

Życie erotyczne Marcinkowskiego jest nam zupełnie nieznane, tu okazała się zasłona, która zapadła nad jego życiem prywatnym, szczególnie nieprzenikniona. Prof. Skałkowski wspomina o korespondencji Marcinkowskiego z Emilią Sczaniecką, wiemy skądinąd, że łączyły go ścisłe więzy przyjaźni z p. Kolską, w której domu mieszkał. — Czy to była tylko przyjaźń, czy w grę wchodziły i gorętsze uczucia? Może i sam Marcinkowski nie zdawał sobie z tego sprawy, a może potężna siła woli, ta panująca cecha charakteru tego tytana czynu potrafiła utrzymać na wodzy porywy jego serca? Jak słusznie podkreśla Prof. Skałkowski, w dawniejszych badaniach nad życiem naszego herosa można się dopatrzeć tendencji, zresztą zrozumiałej i szanowanej, ograniczenia tych badań.

Ostatnie lata przedwojenne przyniosły sporo nowego materiału. Nie sposób wyliczyć w tak pobieżnej notatce nazwisk badaczy, wymienionych w artykule autora, począwszy od Zielewicza, a skończywszy na najnowszych biografach Marcinkowskiego: Dr. Wrzosku i Dr. W. Jakóbczyku. Ograniczę się jedynie do zacytowania słów autora tego wytrawnego znawcy dziejów Wielkopolski na przestrzeni wieku 19-go. Badania te „będą ogromnie utrudnione na skutek zniszczenia, czy też rozproszenia archiwów publicznych, a zwłaszcza prywatnych. Jeżeli pożar dworu w Pakosławiu uniemożliwił poznanie dokładniejszych szczegółów życia Emilii Sczanieckiej, a także jej stosunku do Marcinkowskiego, to spustoszenie siedzib ziemiańskich za dni naszych i zatrata ich pamiątek rodzinnych jest klęską, która ciężko zaważy na naszych studiach historycznych zwłaszcza nad dobą nowożytną i porozbiorową, do której źródła tam były szczególnie obfite“.

Mimo to obecny rok jubileuszowy przyniósł cały szereg nowych i cennych pozycji bibliograficznych dotyczących życia i działalności Marcinkowskiego, jako to: artykuły Dr. Grota w Przeglądzie Wielkopolskim i w Kronice miasta Poznania, książkę Dr. Jakóbczyka o Dr. Marcinie i badania dalsze Dr Wrzoska. A więc mimo wszystko: „nil desperandum“.

Dr Mieczysław Jabczyński

Z POZNANIA

Dwukrotnie w roku 1946 odbyły się w Poznaniu oraz w niektórych miastach Wielkopolski, jak Gniezno, Gostyń, Leszno i Rogoźno, cykle Powszechnych Wykładów Uniwersyteckich, w których prelegentami byli przeważnie profesorowie Uniwersytetu Poznańskiego a wśród nich kilku współpracowników Przeglądu Wielkopolskiego, jak prof. L. Bykowski, prof. J. Kostrzewski, prof. A. M. Skałkowski, prof. K. Tymieniecki, dr. W. Jakóbczyk i dr. Z. Grot. Szereg tematów dotyczyło spraw Wielkopolski i z tej racji zasługuje tu na wspomnienie. I tak idąc chronologicznie wspomniał prof. Kostrzewski o zmaganiach, jakie tu miały miejsce między żywiołem słowiańskim a germańskim. Inny ważny problem z przeszłości poruszył prof. T. Silnicki w wykładzie Magdeburg i Gniezno, w którym przedstawił spór długotrwały a tak bardzo doniosły między arcybiskupem gnieźnieńskim a magdeburskim. Dzieje nowoczesne Wielkopolski znalazły kilku referentów. Paralelę między największym synem tego kraju Karolem Marcinkowskim a bojownikiem o wolność całej Polski Tadeuszem Kościuszką przedstawił A. M. Skałkowski. Był to wykład niezmiernie ciekawy, przyczym w ujęciu Skałkowskiego Marcinkowski pod wielu względami przewyższał Kościuszkę. Doc. W. Knapowska mówiła o swoistości kultury Ziem Zachodnich w Polsce porozbiorowej a dr. W. Jakóbczyk o walce organizacyjnej w 19 wieku między Polakami a Niemcami. Wreszcie dr Z. Grot w jednym wykładzie przypomniał postać Hipolita Cegielskiego, który był twórcą poznańskiego przemysłu a w drugim opisał przeżycia młodzieży wielkopolskiej w okresie okupacji niemieckiej. Wykłady miały znaczną frekwencję i jeśli chodzi o tematy wielkopolskie rozszerzyły znacznie zakres wiedzy o tej najstarszej dzielnicy Polski.

Zg.

Z WĄGROWCA

W drugim półroczu (1946) życie społeczne i kulturalne przybrało na sile i jakości. W czerwcu mieliśmy koncert „Kwartetu Polskiego" z Poznania, jako pierwszą po wojnie poważną imprezę muzyczną, a zdaje się pierwszy wogóle pokaz muzyki kameralnej na tut. terenie. Członkowie kwartetu, z p. Rektorem. Z. Jahnke na czele, podkreślili ze specjalnym uznaniem kulturalną postawę i zachowanie się publiczności na koncercie, czego, ich zdaniem, nie spotyka się zbyt często, nawet w większych miejscowościach. Koncert „Kwartetu" był silnym i emocjonującym przeżyciem.

W sierpniu gościliśmy w tut. Liceum Ogólnokształc. szereg uczonych poznańskich jako wykładowców na kursie geograficzno-historycznym dla nauczycieli szkół średnich. M. i. wykładali pp.: prof. dr K. Tymieniecki, prof. dr A. Skałkowski, prof. dr E. Taylor, dr W. Knapowska, omawiając szereg aktualnych zagadnień historycznych, geograficznych i gospodarczych.

Na innych odcinkach życia kulturalnego rozpoczęto ożywioną pracę z początkiem jesieni. Wznowiono przerwaną wskutek wojny działalność Koła Śpiewaczego i Koła Muzycznego im. Chopina. Oba zespoły, mające wieloletnią, poważną przedwojenną tradycję urządziły dnia 17 listopada wspólny koncert z okazji 55-lecia istnienia Koła Śpiewackiego. (Nawiasem dodać należy, że dyrygentem Koła Śpiew. był ongiś przez pewien czas śp. ks. Dr W. Gieburowski).

We wrześniu powzięła Miejska Rada Nar. uchwałę, by odbudować najcenniejszy zabytek miasta, klasztor pocysterski z XIV w. spalony przez Niemców.

Komitet Odbudowy, zainteresował tą sprawą Ob. Wojewodę St. Brzezińskiego oraz J. E. ks. Biskupa dra L. Bernackiego z Gniezna, którzy przyjęli protektorat nad akcją odbudowy.

Koszt odbudowy obliczono na ok. 40 miljonów zł a czas na 5—7 lat. W ciągu 2 miesięcy zebrano ze składek, imprez i dobrowolnych ofiar przeszło 200 tys. zł. Obecna praca ogranicza się do usuwania gruzów i zabezpieczenia ruin na zimę. Z wiosną, w miarę funduszów i uzyskania materiałów rozpocznie się zapewne prace budowlane.

Mamy dość dobre kino, odczuwa się jednak pewien głód teatralny. Przyjeżdżają od czasu do czasu różne zespoły zamiejscowe, jednakże ich repertuar. i wykonanie nie zawsze (mimo drogich biletów) zadawalają wybredniejszego widza. Do zapełnienia tej luki wzięła się młodzież szkół średnich i doświadczenie nauczyło, że dobra sztuka w poprawnym amatorskim wykonaniu ma większe powodzenie niż teatry objazdowe. Młodzież Liceum Ogólnokształc. wystawiła „Balladynę“ Słowackiego i „Zemstę“ Fredry, a uczniowie Liceum Pedag. „Ptaki“ Aristofanesa. Z zadowoleniem powitano tu inicjatywę założenia stałej sekcji teatralnej przy Kole Śpiewackim, która zacznie działać wkrótce.

W dalszym ciągu pracuje Uniwersytet Powszechny w najodpowiedniejszej dla tut. środowiska formie Wykładów Popularnych. Prelegentami są nauczyciele tut. szkół oraz przedstawiciele inteligencji pracującej.

Wogóle nasze miasto wykazuje tendencje rozwojowe, mając, jako węzłowy punkt kolejowy widoki poważnego wzrostu. Ludności przybyło od ost. spisu w lutym ok. 1000 osób, tak iż dochodzi ona do 11000. Zarząd miejski opracowuje pewne plany urbanistyczne i budowlane, aby złagodzić brak mieszkań i usprawnić komunikację uliczną

T. N.

BIBLIOTEKA ŹRÓDEŁ HISTORYCZNYCH

Celem niniejszej Biblioteki źródeł historycznych jest danie jak najszerszym kołom miłośników historii, zwłaszcza studiującej młodzieży uniwersyteckiej, oryginalnych tekstów źródłowych do ręki. Potrzeba ta wynikła gównie z wyczerpania przedwojennych nakładów, już wówczas rzadkich, jak ze zniszczenia księgozbiorów, które nie oparły się huraganowi wojny. Zanim pojawią się nowe naukowe opracowania naszych źródeł istnieje już dziś konieczność reedycji najważniejszych źródeł historycznych polskich jak i zagranicznych w dotychczasowej choćby wersji i z opuszczeniem aparatu krytycznego.

1. **Artykuły Henrykowskie** wyd. Zdzisław Kaczmarczyk . . 50,—
2. **Bulla Aurea (a. 1356)** wyd. Józef Matuszewski . . . . . 60,—
3. **Konstytucja 3 Maja** czyli tzw. „Ustawa Rządowa" z dnia 3. V. 1791 r. wraz z ustawą „Miasta nasze królewskie wolne w państwach Rzeczypospolitej" i „Zaręczeniem wzajemnym obojga narodów" wyd. Zdzisław Kaczmarczyk . . . . 60,—
4. **Uniwersały w sprawie chłopskiej z czasów insurekcji Kościuszkowskiej** wyd. Franciszek Paprocki . . . . 50,—
5. **Najstarsze papieskie bulle protekcyjne dla biskupstw polskich** wyd. Olga Łaszczyńska . . . . 40,—
6. **Przywileje lokacyjne Krakowa i Poznania** wyd. Andrzej Kłodziński . . . . —,—
7. **Prawa kardynalskie (1768 1791)** wyd. Zdzisław Kaczmarczyk 60,—
8. **Najstarsze świadectwa o Słowianach** przełożył i opracował Marian Plezia . . . . 120,—
9. **Magna Charta Libertatum** (Wielka Karta wolności) wydali Wanda Sołtysowa i Lesław Pauli . . . . 70,—

BIBLIOTEKA TEKSTÓW USTAW

TOM V. **Prawo rzeczowe i prawo o księgach wieczystych** oraz przepisy wprowadzające prawo rzeczowe i prawo o księgach wieczystych i dekret o postępowaniu niespornym z zakresu prawa rzeczowego wraz z skorowidzem . . . . 120,—

TOM VI. **Prawo spadkowe** wraz z przepisami wprowadzającymi prawo spadkowe i **Postępowanie spadkowe** wchodzące w życie 1 stycznia 1947 r. . . . . 120,—

UNIWERSYTECKA
GDAŃSK
R. III
1947, z. 1-3

WYDAWNICTWA

KSIĘGARNI AKADEMICKIEJ

Spółdz. z odp. udziałami

Poznań — Wały Zygmunta Augusta 1

Bossowski, J. J. prof. dr — Wiadomości z nauk kryminologicznych . . . 200,—
Czarnowski, M. inż. dr — Wstęp do hodowli lasu . . . 300,—
Deresiewicz, J. dr — Z przeszłości Prus Królewskich . . 600,—
Dobrowolski, J. M. prof. dr — Uprawa i zbieranie roślin lekarskich, aromatycznych i korzennych . . . . . 200,—
Dybowski, M. ks. doc. dr — Działanie woli (na tle badań eksperymentalnych) . . . . . 650,—
— O typach woli . . . . . —
Gałecki, A. prof. dr — Zarys Chemii fizycznej . . . . 540,—
Grot, Zdz. dr — Hipolit Cegielski . . . . . —
Górski, J. prof. dr — Zarys prawa Zobowiązań . . . . 250,—
— Wstęp do nauki prawa cywilnego . . . . . 120,—
Górski, K. prof. dr — Zarys dziejów katolicyzmu polskiego . —
Hensel, W. dr — Potrzeba przygotowania wielkiej rocznicy 40,—
Kaczmarczyk, Zdz. prof. dr — Monarchia Kazimierza Wielkiego, Organizacja Kościoła i Kultura . . . . . 900,—
Kalandyk, St. prof. dr — Podręcznik Fizyki wyd. II. . . —
Kasznica, St. prof. dr — Polskie Prawo Administracyjne . 300,—
Kostrzewski, J. prof. dr — Prasłowiańszczyzna . . . 240,—
Labuda, G. dr — Studia nad początkami Państwa Polskiego 660,—
— Źródła Niemocy Polskiej na Kresach Zachodnich . . . . 40,—
Miętkiewski, E. — Wskazówki do ćwiczeń z fizjologii . . 240,—
Nikodym, O. prof. dr Równania różniczkowe . . . . . —
Przegląd Wielkopolski. I i II . . . . . 500,—
Rutkowski, J. prof. dr — Gospodarcze dzieje Polski, I . . 480,—
Różycki, St. prof. dr — Anatomia mózgowia i rdzenia kręg. 600,—
— Ćwiczenia anatomiczne (Głowa i szyja) . . . . . —
Sajdak, J. prof. dr — Tertulian, Czasy, życie, dzieła . . . —
Schilling-Siengalewicz, S. prof. dr — Toksykologia —
Simm, K. prof. dr — Zoologia dla przyrodników i roln. . . —
Skuratowicz, W. — Klucz do oznaczania krajowych zwierząt ssących . . . . . —
Stolzmann, Zdz. dr doc. — Zbiór ćwiczeń z chemii fizjologicznej, wyd. II . . . . . 300,—
— Zarys chemii fizjologicznej . . . . . —
Szołdrska, H. — Walka z kulturą polską . . . . . —
Tertulian, Apologetyk, tłum. prof. dr Jan Sajdak (Pisma Ojców Kościoła t. XX) . . . . . 600,—
Wojciechowski, Zygmunt prof. dr — Państwo Polskie w wiekach średnich, dzieje ustroju . . . . . 400,—